Nr. 40. Lwów — Wtorek dnia 20 Lutego. Rok 1894.

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . 5 „
Numera z poprzednich miesięcy po 10 ct.

„Przegląd" jest do nabycia we Lwowie w obu Biurach sprzedaży dzienników i we wszystkich większych trafikach.

PRZEGLĄD
POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Cena prenum. na prowincyi: [illegible]
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct. [illegible]

CENY OGŁOSZEŃ [illegible]
Nadesłane na trzeciej stronicy: Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 8 ct.
Reklamy . . . . 20 „
Nekrologia . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu" przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW" ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: Wt. św. Nicefora M. | Teodora M.
Jutro: Śr. św. Eleonory Król. | Nykyfora M.

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.

Wschód słońca g. 7 m. 6
Zachód „ 5 „ 28

Długość dnia g. 10 m. 17
Przybyło dnia od wczoraj 3 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 19 lutego.

Dziś, albo jutro cesarz niemiecki odda Bismarkowi wizytę w jego „pustelni". Za taki zaszczyt trzeba podziękować, trzeba się wdzięcznym okazać, więc organ byłego kanclerza *Hamb. Nachr.* wystąpił z takim artykułem o traktacie handlowym z Rosyą:

„Uznajemy, że po zawarciu traktatów z różnemi państwami, dla których zniżyliśmy nasze cła zbożowe, zachowanie tych ceł tylko dla rosyjskiej produkcyi straciło prawie wszelką wartość. Czy nadmiar zboża rosyjskiego pójdzie wprost do Niemiec, czy też naprzykład na konsumcyę austryacką, przyczem zboże wyprodukowane w monarchii habsburskiej będzie do nas wysłane, to przecież nam wszystko jedno. Trzeba zatrzymać się z sądem aż do dokładnego zbadania traktatu przez parlament. Jeśli się okaże, że korzyści, jakie z niego wynikną dla naszego przemysłu, większe są od szkody, której dozna rolnictwo, to będzie rzeczą agraryuszy rozważyć, azali nie jest to w interesie solidarności ogółu producentów zgodzić się na traktat i oświadczyć: „My, rolnicy, jesteśmy wprawdzie skrzywdzeni, ale wobec korzyści, jakie traktat daje przemysłowi, cofamy i poprzecamy [illegible]". Jest to jedyne wyjście z dylematu, i jedyny sposób uniknięcia coraz większej sprzeczności interesów między rolnictwem a przemysłem."

Naturalnie! Rolnictwo zawsze musi być kozłem ofiarnym, a kiedy już całkiem będzie zabite, natenczas zupełnie zniknie sprzeczność jego interesów z interesami przemysłu. To rzecz nadto znana. Więc już tylko podziwiać można olbrzymi skok, jaki zrobił Bismark od obrony rolnictwa, kiedy wojował przeciw traktatowi, do obrony przemysłu, kiedy teraz wojuje za traktatem. Pierwszy to raz od ustąpienia Bismarka z kanclerstwa urzędowe biuro telegraficzne Wolffa w Berlinie rozesłało wszystkim niemieckim dziennikom artykuł *Hamb. Nachr.* — właśnie ów przytoczony przez nas artykuł, co nadzwyczajnie oburzyło junkierską prasę, która ciągle jeszcze zwalcza traktat z Rosyą. Ale sami junkrowie już się cofają z pozycyi, bo widzą, że obronić jej nie zdołają. Dziś pragną oni uzyskać bodaj cokolwiek, więc dwa stawiają żądania, mianowicie cła ruchomego, którego wysokość zależałaby od ceny papierowego rubla na giełdzie, i zniesienia na kolejach taryf różniczkowych. W obu tych sprawach [illegible] kapitalistów, co wymownie świadczy o tem, że owa zgoda interesów rolniczych i przemysłowych, o której prawi organ Bismarka, nastąpi wtedy dopiero, gdy jeden z przeciwników wyciśnie drugiego. Jednak walka tak poczyna się, że trzeba przypatrzeć się jej z bliska.

Najpierw tedy zastanówmy się nad sporem o cło ruchome. Kiedy zawarcie traktatu stało się prawie pewnem, kapitaliści podnieśli kwestyę rosyjskiej waluty. Mówili oni: „Bismark zabronił niemieckim bankom państwowym przyjmować rosyjskich papierów do lombardu, co [illegible] tych papierów utrudniło zdobywanie gotówki w każdej dogodnej dla handlu z Rosyą chwili. Nadto zaś rosyjski minister finansów utrudnił wywóz z cesarstwa rubli, kazał brać za każdą wywożoną setkę trzy kopiejki cła. Samo cło jest tak małe, że mówić o niem nie warto, niech ono sobie zostanie, ale manipulacya jest trudna, wymaga czasu, wywołuje mitręgi, a to handlowi ogromnie szkodzi; kupiec niemiecki, chcący nabyć rosyjskie zboże, musi mieć ruble na zawołanie, tego samego dnia, bo w handlu nieraz jedna doba ogromnie wiele znaczy. Zatem muszą być po stronie niemieckiej i po stronie rosyjskiej zniesione wszystkie ograniczenia, tamujące napływ rubli na berlińską giełdę". Ze sfer rządowych odpowiedziano na to, że jużci dołożone będą wszelkie starania, aby handel ułatwić, bo rzecz jasna, że nie ma handlu, skoro nie ma zamiennego znaku, jakim jest pieniądz. Kiedy tak rzecz stanęła, rolnicy przerazili się jeszcze bardziej, bo zrozumieli, że na berlińskiej giełdzie znów zacznie się szalona gra w ruble. Będą one sztucznie obniżane w cenie przez giełdziarzy, aby za tanio kupiony rubel nabywać rosyjskie zboże, które oczywiście będzie kosztowało niemieckiego kupca mniej, niż jego wartość w markach. A zatem rolnicy stracą nietylko na zniżce cła, ale jeszcze i na spekulacyi w rublach. Otóż, aby nie było sztucznego obniżania ceny rubla, junkier Kardorff postawił wniosek, iżby zaprowadzono cło ruchome, ustanawiane za zgodą obu rządów. W traktacie przyjęto, że 100 rubli w złocie równa się 324$^{35}/_{100}$ markom. To więc jest normalna cena, podług której ułożono taryfę celną. O ile rubel od tej normy spadnie, o tyle cło powinno być powiększone, o ile podrożeje, o tyleż cło się zmniejszy. Kiedy pierwszy raz podniesiono tę myśl, rząd oświadczył, że wykonać jej niepodobna, bo w innym czasie kupuje się zboże, a w innym przywozi się je do granicy, a zatem nie wiadomo kiedy kupowano owo zboże i jakiej wartości rublami płacono za nie. Zarzut ten uznali rolnicy za słuszny i Kardorff już inaczej formułuje swój wniosek. Nie żąda on, aby codzień zmieniano wysokość cła stosownie do ceny rubla na giełdzie, lecz żeby od czasu do czasu, raz na kilka tygodni, ustanawiano c ł o w ą cenę rubla, a to zawsze za porozumieniem z Rosyą. Przy takiem urządzeniu może się zdarzyć, że kupiec niemiecki poniesie jakąś stratę, ale najpierw, że nabywając rosyjskie zboże, będzie uwzględniał możliwość tej straty, następnie, że każdy handel połączony jest z pewnem ryzykiem, które jedynie usprawiedliwia wielkie zarobki, a w końcu, że świat kupiecki postara się ustalić cenę rubla, który przecież sam przez się nie zmienia swej wartości, jeno zależy od gry, a tej właśnie być nie powinno. Myśl Kardorffa znalazła życzliwą ocenę w petersburskiej prasie, ale wywołała straszne oburzenie w niemieckich sferach giełdowych i spekulacyjnych. Izby handlowe i giełdowe komitety poczęły protestować i uchwalać petycye do parlamentu, aby przyjął traktat z Rosyą bez żadnych agrarnych poprawek. Pokazuje to, że kapitaliści niemieccy nie kierują się żadnymi zgoła względami na interesa rolnictwa, ani nawet na interes społeczny. Dbają tylko o siebie.

Również jaskrawo uwydatnia się to w kwestyi taryf kolejowych. Są one teraz r ó ż n i c z k o w e, a co to znaczy, wytłómaczymy na przykładzie. Przypuśćmy, że transport ładunku, zajmującego cały wagon, kosztuje na odległość stu kilometrów dziesięć reńskich. Otóż na odległość dwa razy większą koszt transportu nie będzie podwójny, lecz trochę mniejszy; na odległość trzy razy większą będzie nie potrójny, ale także mniejszy i t. d. Słowem, czem dalszy transport, tem znaczniejszy rabat od zasadniczej ceny przewozu. Otóż obliczono w Niemczech, że wskutek tej różniczkowej taryfy przewóz zboża rosyjskiego od granicy państwowej nad Ren, tj. na drugi koniec państwa, będzie tańszy, niż w Saksonii i Bawaryi, nie mówiąc już o tem, że będzie znacznie tańszy od przewozu z Poznańskiego. Rolnicy żądają tedy jednostajnej taryfy, ale oczywiście przemysłowcom zbożowym to nie na rękę, bo oni chcą operować w całem państwie, zwłaszcza w prowincyach zachodnich, zaludnionych najgęściej, a więc potrzebujących dużo zboża. Nie zgadzają się na to i koleje, utrzymując, że nie sam przewóz, ale ładowanie i wyładowanie wagonu stanowią główną część kosztów, a taryfy w ogóle są tak niskie, że koleje zarabiają jedynie wtedy, gdy ładunek idzie daleko. Rolnicy zaproponowali wreszcie, żeby inna była cena przewozu zboża własnego, a inna (większa) obcego, ale i to odrzucono z powodu trudności rozpoznawania, jakie zboże jest obce, a jakie swoje. Słowem nie ma dla rolników żadnych ustępstw. Tylko cesarz Wilhelm II, przybywszy na śniadanie do prezesa pruskich ministrów hr. Eulenburga, pocieszał ich, że kiedyś będzie lepiej, a to mianowicie wtedy, gdy powstanie liczna sieć kanałów wodnych. Wtedy rzeczywiście będzie lepiej, lecz pierwej może rosa wyżre oczy rolnikom.

Taka sytuacya dostatecznie tłómaczy ich ogromne rozgoryczenie.

N. Pester Journal podaje rozmowę swego redaktora z serbskim królem i jego ojcem. Król powiedział tylko to, że oto, miała teraz Serbia przewroty szkodliwe dla niej, ale już odtąd będzie w niej spokój, potem zaś dodał, że Węgry i Serbia żyją w tak bliskiem sąsiedztwie, iż między niemi możliwe są tylko przyjacielskie stosunki.

O wiele ciekawsze to, co rzekł Milan. Oświadczył on, iż przybył do kraju na stanowcze żądanie syna. „Byłem—mówił—na polowaniu pod Paryżem, gdy nadeszła depesza od króla, wzywająca mnie, abym natychmiast przyjechał. Wróciwszy wieczorem do domu, znalazłem tę depeszę, a wnet otrzymałem drugą z wezwaniem, abym nie zwlekał ani chwili. Więc pojechałem i w Belgradzie znalazłem już dokonaną zmianę gabinetu. Ja tedy nie wpływałem na postanowienie króla, chociaż uznaję je za dobre. Z radykałami niepodobna było dalej rządzić po śmierci Dokicza. Sam Gruicz jest człowiekiem godnym zaufania, ale komitet radykalny wyrósł mu po nad głowę. Chaos zapanował w kraju. Kto chciał dokazywać, podatków nie płacić, darmo jeździć kolejami, ten się ogłaszał radykalistą — i dobrze mu było. Wszystkich innych [illegible]. Rozbicie było zupełne. Nietylko król, ale nawet rada gabinetowa nie wiedziała, jak się rządzili ministrowie. Naprzykład minister finansów Wuicz całkiem na własną rękę wywołał zatarg z Austryą o pobór „obrtu". Radykaliści zdobyli popularność w ten sposób, że liberałów i postępowców oskarżali stale przed narodem o zaprzedanie się trójprzymierzu, a siebie wystawiali jako jedynych zwolenników Rosyi i wykonawców wielko-serbskiej idei. Jak mogli godzić się z zasadami panującemi w Rosyi tacy ludzie jak Pasicz i jego koledzy, którzy politycznych teoryi uczyli się w Zurychu u Bakunina? jak całe radykalne stronnictwo, będące wcieleniem politycznego nihilizmu, za który w Rosyi jest Sybir, mogło uważać Rosyę za swój wzór? — tego ja nie pojmuję. A idea wielko-serbska — to mrzonka w dzisiejszych stosunkach. Dałem krajowi widocznie za szeroką konstytucyę, lecz zmienić jej już nie można. Ale radykaliści wyzyskali ją niewłaściwie, mianowicie uchwalili wiele ustaw, które miały zbliżyć ich do upatrzonego celu, do socyalistycznego państwa. Otóż te ustawy muszą być mojem zdaniem zrewidowane".

Tyle słów króla; dodajmy zaś do nich, że serbski poseł w Petersburgu Pasicz prosił o urlop, aby mógł przyjechać do kraju i oczywiście tam bruździć rządowi. Urlopu jednak nie dano mu, więc podał się do dymisyi.

KORESPONDENCYE.

Wiedeń 15 lutego.

Rozprawy nad budżetem w sejmie czeskim ściągnęły na siebie uwagę wszystkich sfer politycznych w Monarchii. Wprawdzie młodoczesi nic nowego nie powiedzieli i chyba nie powiedzą już nigdy; nawet w zakresie opozycyjnych przytyków i złośliwych figur oratorskich dawno już przeszli ową granicę, gdzie się kończy logika, a zaczyna się krzyk pusty. Tem znamienniejsze za to były mowy niemieckich przywódzców, szlachty konserwatywnej i Riegera. Rieger przemówieniem swojem chciał ostateczną oznaczyć linię, na której spotkaćby się mogły wszystkie stronnictwa tego kraju tak nieszczęśliwie rozdzieranego walkami domowemi; mówił jak starzec, który usuwa się z areny, nie mogąc dalej walczyć w obronie ideałów swojej młodości, któremu niejedna też gwiazda zgasła, niejedna pobladła, a który przecież wzrok ma jeszcze wciąż utkwiony w zamgloną, niepewną przyszłość. Mowa jego jest testamentem politycznym staroczechów, z czysto retorycznego stanowiska arcydziełem, z politycznego zaś punktu widzenia najważniejszą enuncyacyą, jaka się pojawiła w ostatnich latach w Czechach, bo spowiada się w niej wódz narodu z owych marzeń, których cały naród czeski porzucić nie może, a zapewne i nie powinien, ale których spełnienia żądał tak niefortunnemi dotychczas metodami.

Nie dziw, że w Wiedniu napotyka ta spowiedź na krytykę ostrą; wszak wiedeńscy politycy nigdy nie przestali jeszcze marzyć o centralizacyi. Rieger śmiało — choć z umiarkowaniem, cechującem każdego prawdziwego męża stanu — stawia za cel dla swego kraju autonomię, w ramach której i Niemcy i Czesi w zgodzie i miłości mogą i muszą znaleźć najwyższe dobro swego kraju. Przypomniał on słusznie historyczny rozwój królestwa, niedozwalający na rozkawałkowanie Czech i zlanie ich z innymi krajami w bezbarwnej ogólnoaustryackiej, wszystko niwelującej administracyi. Nie przeciw Niemcom występował, ale wraz z nimi kazał szukać obrony politycznej samodzielności kraju, p o d d a j ą c e j s i ę w i e l k i m i n t e r e s o m p a ń s t w a, ale niekarlejącej pod hasłem narzuconych i sztucznie stwarzanych r z e k o m y c h tego państwa interesów.

Nie wierzy on w trwałość k o a l i c y i, ale jej potrzebę i konieczność uznaje; nie chce z pewnością niemczenia swoich ziomków, ale ze szczerością składa hołd pracy Niemców; skromnie konstatuje nawet niższość swego narodu w porównaniu z wielkim szczepem niemieckim, ale domaga się, żeby wreszcie przyznano równą wartość (nietylko równouprawnienie) obu narodom w Czechach. Zdaniem Riegera Czesi w niczem nie ustępują niemieckim współobywatelom: mają wielki przemysł, handel, publicystykę, literaturę i sztukę wielką (zwłaszcza muzykę); są skrzętni, pracowici i oszczędni. Dlaczegóż, zamiast razem pracować nad podniesieniem najbogatszego, od natury tak błogosławionego królestwa, rozdzierają się jego mieszkańcy w ustawicznych waśniach i niewczesnem podniecaniu nienawiści?

Mówi się tyle teraz o powszechnych wyborach, o reformie ordynacyi — żaden polityk nie przeprowadzi stałego w tym kierunku porządku, jeśli nie oprze się na właściwościach tak bardzo różniących się między sobą krajów, wchodzących w skład monarchii. Uznaje się potrzebę udzielenia głosu robotnikom, ale na nic nie zda się nowa kurya dodana do dzisiejszej niesprawiedliwej formy reprezentowania interesów ogółu, formy narzuconej w parlamencie krajom wbrew ich woli, przeciw ich opinii, przez mniejszość energiczną, która ze sztucznie uzyskanej swej chwilowej przewagi skorzystać umiała. Polityczne kwestye nie dadzą się uciszyć, ani przytłumić — a pierwszym i najważniejszym krokiem zgody będzie *przywrócenie sejmom ich prawa wysyłania posłów do parlamentu,* którego odebranie zmarły Herbst nazwał wiarołomstwem (Rechtsbruch). Wszystkie żywioły w kraju winne sobie podać rękę do zgody: lud, obywatelstwo, duchowieństwo, szlachta, a wszyscy dążyć powinni do pojednania się z Niemcami i zyskania przyjaciół w szerszych kołach".

Oto kilka myśli przewodnich pamiętnej mowy, tak mało licującej z taktyką młodoczeską, tak sprzecznej nawet z niektóremi tendencyami wojowniczemi samych staroczechów.

Zdaje się, że wielkie rozdrażnienie w Czechach przesiliło się i że lepsze nastaną czasy. Staroczeskie stronnictwo, przechylające się coraz niebezpieczniej ku radykałom, nie znającym opamiętania, stanąć musi nad samym brzegiem przepaści. I ze strony Niemców nie brak głosów, coraz wymowniej nawołujących do umiarkowania i zgody.

Hallwich skonstatował, że Niemcy sami uznają p o t r z e b ę u c z e n i a s i ę p o c z e s k u w Czechach i potrzebie tej folgują coraz częściej i widoczniej, że koalicya broni tylko interesów ogólno-państwowych przeciw wybrykom niektórych stronnictw, a nie chce ż a d n e j ciemiężyć narodowości, że Niemcy, choć obstają przy warunkach ugody z Czechami, jednak p r z y s t a ć g o t o w i s ą n a o d r o c z e n i e d a l s z y c h n a d n i ą r o z p r a w, a b y n i e j ą t r z y ć rozdrażnionego i tak usposobienia w kraju.

Młodoczesi najgorzej wyszli z debaty. Herolda polemika z Riegerem nie zasługuje na nazwę mowy politycznej, blada i bezbarwna; poruszała się ona w kole frazesów o prawie państwowem, o koalicyi antyczeskiej i t. d. a kiedy staroczecha Tonnera świetną obronę konserwatywnej szlachty, młodoczesi przerwać usiłowali zwykłą swoją metodą wrzasków, a marszałek chciał mówcy przyjść z pomocą i wezwał gardłujących krzykaczy do porządku, Tonner nie bez powodu mógł zawołać: „Proszę nie ujmować się za mną, — z t y m i t a m sam się uporam".

Otóż „ci tam" tracą na znaczeniu z dniem każdym; ich ostatni „wielki tryumf" rozdzielenia kuryi własności większej na dwa obozy nie przyniesie żadnych owoców. Stanowczość, z jaką hr. Ledebour bronił i koalicyi i stanowiska w niej szlachty czeskiej sprawi zapewne, że łuski z oczu spadną najzacięższym radykałom. W Wiedniu wielką przywiązują wagę do oświadczeń tego mówcy, słusznie wnioskując, że rząd mając takich obrońców, na trwalszych opiera się posadach, niż jego przeciwnicy mniemają.

WENUS.

Przez

KAMILA FLAMARIONA

Pierwszy Homer, trzy tysiące lat temu, podziwiając Wenus na niebie wieczornem, jak my to czynimy dziś, wyróżnił ją z pośród innych gwiazd przydomkiem „piękna".

Jej świetny blask zwraca na siebie wzrok każdego. Obecnie, gdy od kilku miesięcy świeci ona cudownie nad naszemi głowami, dlaczegoż nie mamy powitać w niej najwspanialszej z gwiazd i nie zapytać, jaka jest tajemnica tej świetności?

Ta promienista gwiazda wieczorna znana już była w głębokiej starożytności; jestto jedyna planeta, opiewana przez Homera; Izajasz wysławiał jej świetność pod nazwą Lucifera, starożytni Egipcyanie w epoce piramid zwali ją „niebieskim ptakiem ranka i wieczora", Babilończycy trzydzieści pięć stuleci temu zauważyli jedno z jej przejść przez słońce, Indyanie nazywali ją błyszczącą, a pierwsi Arabowie — wspaniałością nieba. Ona-to w zaraniu wieków była boginią piękności i miłości. Podnieśmy wieczorem oczy ku niebu, a ujrzymy w tych czasach nad swą głową gwiazdę opiewaną przez Homera i Wirgiliusza.

Ileż wydarzeń upłynęło od epoki tak odległej! Narody, języki i wierzenia — wszystko się zmieniło! Co się dzieje z oczami, które podziwiały Wenus trzy tysiące lat temu? Gdzie są serca, które jej powierzały tajemnice miłości i przysiąg tych dotrzymać miały wiecznie? A czy naszych następców po upływie szeregu wieków będzie jeszcze zachwycała gwiazda z Iliady, błyszcząca na ich niebie? Historya ludzi mija szybko i ginie w oceanie czasu, niebo pozostaje i astronom ma prawo śmiać się z wielkich ambicyi w małych wydarzeniach.

Wenus w tej chwili znajduje się w jednym z rzadkich okresów wielkiego blasku. Jest ona tak świetna, iż tworzy cienie, jak przy słabem świetle księżyca. O tem przekonać się łatwo, usadowiwszy się w ciemnym pokoju lub idąc wzdłuż ściany, muru itp. Można ją dojrzeć także w dzień gołem okiem nietylko przed zachodem słońca, ale nawet w południe, jeżeli się tylko wie, gdzie jej szukać. Żadnej z gwiazd ani planet pod względem blasku nie można porównać z Wenus.

Ta widoczność Wenus w ciągu dnia zwracała uwagę oddawna, lecz rzadko kiedy stawała się wypadkiem, że tak powiedzieć można, publicznym.

Coś podobnego wydarzyło się między innemi w czasach kiedy Napoleona Bonapartego, po zwycięzkiej wojnie z Włochami i rozszerzeniu granic Francyi aż do bram Rzymu, przyjmował dyrektoryat z honorami, które były zapowiedzią konsulatu. Otoczony świetnym sztabem, młody generał jechał konno do pałacu Luksemburskiego, gdzie oczekiwał go dyrektoryat, gdy nagle ze zdziwieniem ujrzał na ulicy Tournon ludzi, którzy, tłocząc się na jego drodze i witając okrzykami, wpatrywali się w punkt na niebie zamiast w niego. Od jednego z adjutantów dowiedział się, iż gwiazda błyszczy na niebie, a naród upatruje w niej gwiazdę zwycięzcy Włoch. Była to Wenus w okresie największej swojej świetności. Konstelacye polityczne zmieniły się szybko, ale gwiazda błyszczy nam ta sama.

Była ona już w czasach mitologicznych, gdy składano jej hołdy w świątyniach na jej cześć wzniesionych w Grecyi, w Egipcie, w Indyach, na ziemi całej, gdyż jej przepiękny lub tajemniczy wygląd rankami i wieczorami skłaniał ludzi do wytwarzania kultu i uosabiania jej w postaci bóstwa. I dziś jeszcze nie jeden marzyciel, oglądając tę gwiazdę promienistą, panującą w eterach, nie domyśla się, iż nauka wytłómaczyła już zagadkę i rozwiała wiele złudzeń.

Wenus przestała już być dla nas symbolem alegorycznym, błądzącym w świecie nadziemskim i sprawującym rządy nad zakochanemi sercami; ziemia nie jest już także miejscem, na którem rządzą tego rodzaju moce, horyzont się zwiększył, a nasza planeta, uwolniona od mitologicznych tradycyi, żegluje po przestworzach.

Wenus stała się ziemią niebа, naszą siostrą i naszą sąsiadką. Spojrzenia, które teraz w górę się zwracają, nie widzą w niej, jak Homer lub Manilius, punktu świetnie błyszczącego nad naszemi głowami i wywierającego wpływ na uczucia naszego serca i na uderzenia pulsu, lecz świat analogiczny z zamieszkiwanym przez nas, krążący, jak i nasz, w około słońca, żyjący tem samem światłem i tem samem ciepłem, któremu nasza ziemia wydaje się z kolei gwiazdą na niebie.

Jedną z największych zdobyczy astronomii jest możność uczynienia człowieka obywatelem nieba. Ziemia przez nas zamieszkiwana jest gwiazdą, podobnie jak Wenus, Mars lub Jupiter, i nie stanowi bynajmniej jakiegoś środkowego punktu stworzenia, przeciwnie, zajmuje takie samo miejsce w nieskończoności wszechświata, co najbardziej oddalona gwiazda drogi mlecznej.

Ta świetna Wenus sama przez się nie posiada więcej światła od naszej ziemi. Poprostu otrzymuje promienie od słońca i odbija je w przestrzeni jak księżyc.

Uzbroiwszy się w dość silną lunetę, dostrzeżemy, że brzegi kulistej formy gwiazdy nie są regularne. Biegun południowy na niej jest przytępiony i zaokrąglony, północny zaś zakończony ostrzej. Zwiększając siłę naszego instrumentu zobaczymy atmosferę w warstwach coraz mniej widzialnych, poczynając od linii, dzielącej półkulę oświeconą od półkuli ciemnej, przeciętą tu i owdzie obłokami i cieniami.

Zadając sobie trud zrobienia paru kombinacyi z zakresu astronomii praktycznej, dowiemy się, iż średnica tego globu jest zupełnie taka sama, jak ziemi. Pod tym względem nie ma między niemi różnicy nawet o jedną tysiączną. Jednocześnie przekonamy się jednak, że Wenus jest cokolwiek lżejsza od ziemi. Jej gęstość materyi wynosi $^{8}/_{10}$ gęstości ziemi, stąd wniosek, iż przedmioty na jej powierzchni ważą cokolwiek mniej niż u nas. Kilogram, przeniesiony na Wenus, ważyłby tam tylko 802 gramy. Na Marsie ważyłby jeszcze mniej, bo tylko 376 gramów i mniej jeszcze na księżycu, mianowicie 174 gramy.

Astronomia poucza nas także, iż ta młoda siostra naszej planety komunikuje się z nami nietylko przez światło, lecz i przez siłę przyciągania, nie rządzi się żadnemi wyjątkowemi prawami pomiędzy innemi światami, przeciwnie, pozostaje z niemi w ścisłym związku, wytworzonym przez niezbadane siły. Odległość, dzieląca nas od Wenus w tej chwili, wynosi 41 milionów kilometrów. Światło przebiega tę przestrzeń w dwie minuty siedmnaście sekund. Czyż wobec tego można uważać odległość tę za wielką? W Paryżu nawet „telegram urzędowy" bez względu na ten tytuł bywa doręczany o kilka setek metrów od miejsca podania dopiero w godzinę. Gdyby kiedykolwiek astronomowie zdołali utworzyć telegraf niebieski, komunikacya między światami odbywałaby się daleko szybciej, niż pomiędzy jedną a drugą dzielnicą nowoczesnego Babilonu. Pewna przyjaciółka postępu, pani Guzman z Bordeaux, powzięła myśl, której banalną nazwać nie można, zapisała akademii nauk sto tysięcy franków na cel niemal fantastyczny, mianowicie na próby utworzenia komunikacyi optycznej pomiędzy ziemią i najbliższemi nam światami. Akademia legatu nie przyjęła i cała suma prawdopodobnie dostanie się Stanom Zjednoczonym.

Jeżeli promień światła przebiega z Wenus na ziemię w dwie minuty siedmnaście sekund, siła przyciągania pomiędzy dwiema planetami przejawia się w czasie znacznie krótszym, mianowicie w niespełna sekundę. Co za cudowne urządzenie! O czterdzieści jeden milionów kilometrów doświadczamy tajemniczego wpływu Wenus, czujemy, iż krąży niedaleko nas i, ulegając sile przyciągania z jej strony, ziemia zbacza na chwilę z regularnego koła, które przebiega około słońca, by przybliżyć się do jej torów. Astronomia wylicza te zboczenia i zdaje sobie z nich sprawę.

Gdyby słońce nie wywierało większej siły, dwie siostrzane planety, Ziemia i Wenus, zbliżałyby się stopniowo do siebie coraz więcej i katastrofa spotkania stałaby się nieuchronną. Ale na szczęście dla nas, wszechmogące słońce prędko odzyskuje swe prawa i wszystko powraca do porządku.

Rok na Wenus trwa tylko 224 dni. Natomiast dzień bywa tam dłuższy, a nawet, jak się zdaje, wieczny... Chmury przeszkadzają nam niezmiernie w obserwowaniu obrotu dziennego Wenus i gdy czas tego obrotu odnośnie do naszego drugiego sąsiada Marsa wyliczony mamy prawie co do jednej setnej minuty, o obrocie Wenus brak nam pewnych danych. Niektórzy astronomowie wyrazili w ostatnich czasach przypuszczenie, że Wenus jedną półkulą stale jest zwrócona ku słońcu. Gdyby tak było istotnie, a prawdopodobnie sprawdzimy to wkrótce, na Wenus dzień wieczny panowałby z jednej strony, a wieczna noc z drugiej. Byłby to zaiste dziwny świat! Na jednej półkuli: światło, ciepło i życie; na drugiej: noc wieczna, chłód i śmierć!

Nas jednak przedewszystkiem obchodzą stosunki, wynikające z sąsiedztwa planet i ich sił przyciągania.

W tej chwili słońce znajduje się w okresie największej swej działalności, jak to się okazuje z plam, występujących na niem i wybuchów. Zdarza to się co jedenaście lat i na powtórzenie tych zjawisk będziemy musieli czekać do 1905 r. Otóż na ziemi, mającej 149 milionów kilometrów kwadratow. powierzchni, igła magnesowa wskazuje nam *maximum* działalności magnetyzmu ziemskiego; wszystko pozwala nam przypuszczać, że to samo dzieje się na Wenus i na Marsie, nawet gdyby tam nie fabrykowano igieł magnesowych do stwierdzenia siły magnetycznej...

Nauka o gwiazdach otwiera przed nami coraz to większe horyzonty do badań życia nadziemnego. Wiemy już, że Ziemia, Wenus i Mars są trzema kulistemi ciałami, pozostającemi pod wpływem tych samych sił, tych samych praw ciążenia i zawisłych od jednakowych zmian magnetycznych. Z tego punktu widzenia Wenus jest dla nas dziś gwiazdą ciekawszą, niż była za czasów mitologicznych, a znajomość pierwszych związków, zachodząca pomiędzy planetami—etapem na drodze podbicia wiedzy innych światów.

Z tem coraz szersze koła opanowującem przekonaniem liczyć się wreszcie musi i najzaciętsza opozycya, a ułatwi to znacznie pracę parlamentowi, przed którego otwarciem stoimy.

SEJM.

XXIII posiedzenie z d. 17 lutego.

W dalszym ciągu onegdajszego posiedzenia, przystąpiono do dyskusyi szczegółowej nad sprawą solną.

P. ks. Jerzy Czartoryski oświadczył, że w dzisiejszej organizacyi sprzedaży soli są ujemne, ale nie brak także i dodatnich stron. Najgorszą rzeczą jest to, że kontyngent nie został wyczerpany, dążyć trzeba do usunięcia tej wadliwości. Mówca zaprzeczył temu, jakoby większość komisyi miała zamiar rzecz całą z góry przesądzać. Zmiana organizacyi nastąpi w miarę nabranego doświadczenia i zbadania przedstawionych wyników. Mówcy niektórzy wykazywali, iż główny cel, do którego Sejm dążył, t. j. potanienie soli, został osiągnięty. Ks. Czartoryski wykazywał jednak, że z potanienia soli gminy nie mają żadnego pożytku, gdyż soli w gminach nie ma dlatego, iż nie chcą brać jej od zastępstw. Dalszym powodem tego jest to, że także zastępstwa stawiają gminom uciążliwe warunki, a zastępstwom znów trudne warunki stawia Wydział krajowy. W tym kierunku należy zdaniem mówcy przeprowadzić poprawę organizacyi. W końcu oświadczył się ks. Czartoryski za wnioskiem mniejszości komisyi.

P. Huryk przemawiał za wnioskiem większości.

W głosowaniu przyjęto znaczną większością wnioski mniejszości komisyi.

Petycyę gminy m. Wieliczki o zniżenie prestacyi na płace nauczycieli odstąpiono Wydziałowi krajowemu do zbadania i możliwego uwzględnienia.

Petycye gmin: Czortkowa, Starego Czortkowa i Wygnanki w sprawie objęcia fundacyi ubogich imienia Hieronima Sadowskiego w zarząd Wydziału krajowego przekazano Wydziałowi krajowemu z poleceniem, aby poczynił u rządu starania o wprowadzenie w życie tej fundacyi.

Petycyę osady polskiej gminy Podrzecza o utworzenie z niej osobnej gminy administracyjnej przekazano Wydziałowi krajowemu do załatwienia.

Po załatwieniu tej sprawy, zabrał głos p. Namiestnik Kazimierz hr. Badeni i zawiadomił Izbę, iż na mocy cesarskiego rozporządzenia, zamyka sesyę sejmową i prosił ks. Marszałka o dopełnienie potrzebnych formalności.

Po odczytaniu protokołu posiedzeń, zabrał głos marszałek krajowy ks. Sanguszko i przemówił w te słowa:

Wysoki Sejmie!

Po wielu tygodniach pracy sejmowej sesya zostaje zamkniętą. Jakkolwiek wiele sprawozdań i przedłożeń Wydziału krajowego przy skromnym czasie nie przyszło na porządek dzienny, to jednak sesyi obecnej bezpłodną nazwać nie można. Czas nie został stracony na marne: oprócz różnych spraw natury budżetowej i administracyjnej, uchwalono nader ważną dla finansów kraju ustawę o opłatach konsumcyjnych, uregulowano fundusz kolejowy, umożliwiający finansowanie tej doniosłej sprawy, uchwalono wezwanie do rządu w sprawie ustawy o konkurencyi kościelnej i w miarę możności złagodzono klęskę zeszłoroczną.

W czasie sesyi powstał wniosek z inicyatywy poselskiej, wniosek doniosły, regulujący sprawę ciężarów szkolnych. Sprawa ta, zajmująca w wysokim stopniu umysły członków wys. Izby, nie była sama w sobie nową. Od szeregu bowiem lat była w różnych formach wentylowaną i badaną.

Dawna ustawa orzekała formalnie o bezpłatności nauki, ale przesuwała ciężar finansowy na opłaty ogólne — wniosek hr. Stanisława Badeniego zaradził nierównościom i przeprowadził zasadę bezpłatności w całej pełni — i z całą konsekwencyą. Tem znamienniejszy jest ten wniosek, że wyszedł on z grona większej własności, która w tym Sejmie ma teraz znaczną większość, że został przyjęty jednomyślnie i bez frazesów. Ciężary, jakie spadną na wielką własność są bardzo znaczne, — ale to właśnie stanowi dowód, że w wieku walki o byt, walki twardej nie tyle kast, ile „sfer interesów" są u nas jeszcze ludzie, którzy poświęcić gotowi swój osobisty interes wspólnym interesom narodu i kraju. (Brawa).

Dziękuję dalej wys. Izbie, że zachowaniem się swem w wyższej jeszcze mierze niż poprzednio ułatwiła mnie i memu czcigodnemu zastępcy zadanie przewodniczenia. Jak spokojną była dyskusya w tej Izbie, dowodem tego debaty szkolne, trzymające się w całej pełni granic rzeczowych. To też rola nasza ograniczała się właściwie do udzielania głosu.

Rozjeżdżacie się Panowie! Jedni pośpieszą do parlamentarnej pracy do Wiednia, drudzy do domów, do pracy. Pierwszym i drugim życzę powodzenia dla nich i całego kraju. (Brawo). Wszystkich zaś żegnam nadzieją, że za kilka miesięcy zbierzemy się znowu, aby oddać hołd i cześć Najjaśniejszemu Panu, który przyrzekł, że kraj nasz przy sposobności Wystawy obecnością Swą zaszczycić raczy, i Sam zobaczy, jak dalece postąpiliśmy na wszystkich polach. (Po rusku). Tem samem żegnam posłów ruskich w nadziei, że jakkolwiek są między nami różnice polityczne, zawsze znajdziemy łatwo grunt do wspólnej pracy. (Brawo). (Po polsku). Zanim w kraju naszym powitamy Najdostojniejszego Gościa i wyrazimy Mu uczucia wierności, pozwólcie Panowie, abym w imieniu wszystkich wzniósł okrzyk: Cesarz i Król Franciszek Józef niech żyje! (Izba powtarza okrzyk po trzykroć z zapałem).

P. Wojciech Dzieduszycki zaznaszył, że ks. Marszałek w swej przemowie ze skromnością zbytnią mówił o sobie. Tem więcej należy złożyć mu uznanie. Nie jest obojętnem bowiem, kto dzierży laskę marszałkowską, kto przewodniczy rozprawom. Nie dosyć jest rozdawać głosy i formalnie kierować dyskusyą; trzeba, aby Marszałek cieszył się uznaniem i sympatyą całej Izby, jak to jest w naszym parlamencie (brawo). Trzeba, aby ten przewodnik natchnął Sejm przekonaniem, że nie powinien rozbijać się o drobnostki, ale mieć na oku dobro ogólne, interes całości (brawo).

Przodkowie księcia cieszą się wielką tradycyą w Rzeczypospolitej i w tej naszej Rusi — a ich tradycya, to troska nie o siebie, ale o kraj — o naród (brawa). Samo nazwisko Sanguszków wystarcza, aby Sejm wziął sobie za hasło działania cichą, ale poważną i gruntowną pracę nad dobrem kraju. (Brawa).

Nie sama jednak przodków cnota otacza aureolą księcia Marszałka; jego to osobiste zasługi dodają mu blasku. Wszyscy czujemy jak spokojnie, objektywnie i sumiennie postępuje, to też dumni jesteśmy, że pod Jego przewodem złożymy hołd Najjaśniejszemu Panu — wdzięczni, że takich dał nam przewodników. (Brawo).

Wraz z księciem na uznanie i podziękowanie zasługuje ksiądz Metropolita, bo i on zdobył sobie wdzięczność Izby. (Brawo). W swej godności przedstawiał on pamiątkę dziejową dawnej Rzeczypospolitej, wskazywał nam zawsze naszą wspólność w duchu katolickiego Kościoła. (Brawo). Niech mi więc będzie wolno złożyć pokłon ks. Metropolicie imieniem Izby.

Ze strony rządu doznawał Sejm rzetelnego poparcia. Z ust kierownika politycznego kraju słyszeliśmy słowa, które dają nam pewność, że z Sejmem naszym łączą go wspólne uczucia. Pragnie on z serca, aby praca Sejmu była pomyślną i szczęśliwą dla kraju. Takiego politycznego naczelnika mamy w osobie JE. p. Namiestnika hr. Kazimierza Badeniego. Jemu też należy się podzięka za to, co już zdziałał i czego działać nie przestanie. (Brawo i oklaski).

P. ks. Hamorak dziękuje imieniem posłów ruskich, jako najstarszy wiekiem, ks. Marszałkowi za jego bezstronność i wyrozumiałość w prowadzeniu rozpraw, bez względu na różnice stronnictw i narodowości. Serca Rusinów wdzięczne są za to ks. Marszałkowi. (Oklaski).

Następnie zabrał głos JE. p. Namiestnik, hr. Kazimierz Badeni: Łaskawe słowa, w imieniu posłów do mnie zwrócone, wysoce sobie cenię. Nie chciałbym wprawdzie, aby to tak wyglądało, że ulegam teroryzmowi szanownego sprawozdawcy generalnego komisyi budżetowej, jednakowoż muszę powiedzieć, że w tym roku istotnie wyjątkowo zadanie moje było bardzo ułatwione i w skutek tego zasługa moja zbyt małą. Szan. Panowie załatwiliście się nietylko z przeważną częścią materyału, który był dla was przygotowany, ale i z wnioskami, z inicyatywy poselskiej wychodzącymi. Załatwiliście się zatem ze sprawami, nietylko pod względem ilości, ale i jakości. Sądzę, że większość tej Wys. Izby uzna, że może zadanie jej było ułatwione właśnie z tego powodu, iż nastąpiła pewna silniejsza, bardziej skupiona organizacya tej Wys. Izby. Ja byłem zawsze zwolennikiem takiej organizacyi i dlatego się cieszę, że panowie owoce jej już na tej sesyi w sposób tak namacalny dostrzedz mogli.

Usiłowano tu wprawdzie w ciągu dyskusyi budżetowej przedstawić mnie jako takiego, który ma wprost odmienne pod tym względem zapatrywania. Posądzono mnie, że hołduję zasadzie *divide et impera*. Zdaje mi się, że może chyba w tej Wysokiej Izbie wiadomość ta wiary nie znalazła (*brawa*); nie znalazła wiary i u najbliższych towarzyszy politycznych tego mówcy, który to wypowiedział, a kto wie, czy on sam w to wierzy. Zdaje mi się że chwycił po prostu za broń, którą miał pod ręką, która mu się zdawała wygodną i myślał, że tą bronią we mnie trafi. (Ale nie trafił! bo ja żadnej ery nowej nie inaugurowałem; żadnej ugody z tymi panami nie zawierałem, a zrobiłem to jedynie, że mówiąc z nimi prywatnie, powiedziałem im i publicznie z tego miejsca powtórzyłem, co jest potrzebnem, aby Namiestnik cesarski w obec własnego sumienia znalazł podstawę do popierania i uwzględnienia słusznych, umiarkowanych, na aktualnych potrzebach opartych, życzeń i dążeń narodu ruskiego, a mianowicie w granicach obowiązujących ustaw i w granicach możności finansowej państwa.

Nic innego nie robiłem i na przyszłość nie uczynię. Przy tych zasadach, które wypowiedziałem i których jako Namiestnik przestrzegać muszę z żelazną konsekwencyą, jak długo Namiestnikiem będę, — pozostanę. A zostanę przy nich albo z reprezentantami narodowości ruskiej, albo też pomimo nich. Co zrobić można i trzeba — uczynię! — (*Brawa i oklaski*).

JE. ks. Marszałek Sanguszko, dziękuje w imieniu swojem i JE. ks. Metropolity, za tak zaszczytne słowa, wypowiedziane przez pp. Wojciecha Dzieduszyckiego i Hamoraka.

J. E. P. Namiestnik hr. Badeni zabrał głos po raz wtóry: W tej chwili otrzymałem rozporządzenie P. Ministra finansów, z którem chciałem się podzielić z wys. Izbą, bo nie wątpię, że wiadomość będzie dla wszystkich Panów pożądaną. Oto P. Minister zgodził się na wszystkie moje wnioski pod względem ulg podatkowych, a wnioski te w pełnej mierze odpowiadają tym życzeniom, które szan. Panowie w rezolucyach uchwaliliście, z jedną małą różnicą pod względem chwili, w której ma się rozpocząć ściąganie rat, ale nie wątpię, że i to życzenie będzie później uwzględnione (*Brawo*).

Ks. Marszałek Sanguszko, oświadcza, że zamyka posiedzenie dzisiejsze i 5 sesyę VI peryodu sejmowego. Koniec posiedzenia o godzinie 2, min. 35.

KRONIKA.

Lwów 19 lutego.

„Królowa złota". Rozpoczynamy dziś druk „Królowa złota", słynnej powieści Pawła d'Aigremont. Utwór ten wywołał w Paryżu ogromne wrażenie i przez krytykę zaliczony został do najlepszych współczesnych powieści francuskich.

Z uniwersytetu. P. Cyryl Studziński otrzymał na Uniwersytecie wiedeńskim stopień doktora filozofii.

Honorowe obywatelstwo nadała Rada gminna m. Jaworowa pp.: Ferdynandowi Paarowi, burmistrzowi miasta Jaworowa, i Janowi hrabiemu Szeptyckiemu, marszałkowi powiatowemu i posłowi na Sejm krajowy.

Wybór uzupełniający jednego członka Rady powiatowej w Złoczowie, z grupy większych posiadłości, rozpisało Namiestnictwo na dzień 30go marca rb.

Konkursa. Rady szkolne okręgowe w Brzeżanach, Podhajcach, Tarnopolu, Rohatynie, Tłumaczu i Złoczowie rozpisały konkurs na kilkadziesiąt posad nauczycielskich.

Przeniesienia. P. Namiestnik przeniósł komisarza powiatowego: dra Józefa Lubicz Pajączkowskiego z Krakowa do Lwowa i praktykantów konceptowych Namiestnictwa: Mieczysława Jałóba Kaliniewicza z Niska do Mościsk, Stanisława Maly'ego ze Lwowa do Niska, Czesława Trembałowicza ze Lwowa do Brzozowa.

„Śluby króla Jana Kazimierza." *Czas* donosi, iż ostatnie dzieło ś. p. mistrza Matejki „Śluby króla Jana Kazimierza," przeznaczone na wystawę lwowską, stanie się wkrótce własnością gminy m. Lwowa. Rokowania w tej mierze między rodziną a niektórymi wybitnymi członkami lwowskiej Rady miejskiej są na najlepszej drodze i zasadnicze porozumienie już osiągnięto. Sprawa zakupna tego obrazu przedłożoną będzie lwowskiej Radzie miejskiej.

Nabożeństwo żałobne za męczenników pomordowanych za wiarę przez Moskali w Krożach odbyło się w sobotę w przemyskim kościele archikatedralnym. Na cmentarzu przemyskim stanie niebawem krzyż pamiątkowy poświęcony pamięci ofiar rzezi w Krożach. Krzyż będzie dębowy, z odpowiednim napisem na tablicy, zdobny w koronę cierniową z kutego żelaza:

Kołomyjka na cześć cara. W pewnem mieście, gdzie istnieje ruski „Narodny Dom," odbywał się w zeszłym tygodniu bal ruskich dam. Gości na balu było sporo i bawiono się ochoczo. Przerwy między tańcami wypełniano pogadanką i śpiewaniem pieśni ruskich. Podczas jednej z pauz wszedł do sali bawiący w tem mieście urzędnik rosyjski. Na zebranych wizyta tak dostojnego gościa zrobiła wielkie wrażenie, powitano go z wielką radością, a nawet jeden z aranżerów balu uczynił wniosek, aby po przerwie zmieniono porządek tańców i na cześć najdostojniejszego imperatora Rosyi i jego obecnego w sali reprezentanta zatańczono kołomyjkę. Wniosek ten przyjęto przez aklamacyę, dano muzyce znak, by zagrała kołomyjkę i goście przed okiem carskiego sowietnika puścili się w zamaszyste prysiudy. Dla wyjaśnienia dodać musimy, że miasto owo, w którem tak uczczono cara i jego sowietnika nie leży w Rosyi, lecz pod berłem najszlachetniejszego z monarchów Cesarza Austryi.

Matkobójstwo. Wyrok w sprawie Piotra Boratynowicza zapadł w sobotę o godzinie 2-giej, gdyśmy pismo nasze oddawali na prasę, ograniczyliśmy się zatem tylko na samem zanotowaniu wyroku. Dziś uzupełniamy nieco podane w sobotę sprawozdanie z Izby sądowej. Po nader treściwie przeprowadzonem resumé p. prezydenta, udali się sędziowie przysięgli na naradę, poczem zwierzchnik ławy profesor Niedźwiecki odczytał werdykt ławy przysięgłych. Pierwsze pytanie główne potwierdzono 12, drugie 11 głosami.

W obec potwierdzenia dwóch pierwszych pytań, odpadło pytanie trzecie, wypadkowe. Prokurator wniósł karę śmierci, obrońca zaś upraszał w razie zasądzenia oskarżonego, o przedstawienie go do łaski monarszej.

Podczas odczytania werdyktu ławy przysięgłych oskarżony zachował zwykły spokój, nawet nie drgnął, a gdy trybunał udał się na naradę, oskarżony śmiejąc się, rozglądał się po audytoryum. Szmer oburzenia przeszedł po przepełnionej sali.

Po kilkuminutowej naradzie odczytał p. prezydent Białostórski wyrok, skazujący oskarżonego na karę śmierci przez powieszenie.

Podczas czytania wyroku oskarżony rozpłakał się, a na zapytanie przewodniczącego, czy chce zgłosić zażalenie nieważności, — odpowiedział głośno: „Wyrok przyjmuję" — poczem krokiem pewnym opuścił salę.

Główna wygrana losów stanisławowskich w kwocie 9 000 złr. padła na numer 1558, 600 złr. wygrał numer 23 814, po 150 złr. nr. 14 267 i 19 631. — Główna wygrana Joosziv losów w kwocie 10.000 złr. padła na s. 1012 nr. 24, po 1000 zł. wygrały: s. 4350 nr. 92 i s. 6282 nr. 85, po 500 złr. s. 6890 nr. 70 i s. 7046 nr. 100.

Polacy na Bukowinie. Dobra Waszkowce nad Seretem kupił od dotychczasowego właściciela pana M. Nordmana, Polak, p. Hipolit Morgenbesser za cenę 200.000 złr.

„Lynch" niewieści. Tragikomiczna scena, która się rozegrała na cmentarzu czerniowieckim z okazyi pogrzebu nieszczęśliwej żony konduktora Grabowieckiego, jest teraz przedmiotem śledztwa sądowego. Nie skończyło się jednak na jednorazowym wymiarze sprawiedliwości. Wiarołomnego małżonka otoczyły kumoszki niosące na targ mleko zaraz następnego ranka, zelżyły go publicznie, oblały mlekiem i bijąc garnkami, zmusiły do ucieczki. Grabowiecki nie wychodził z domu przez kilka dni, a w końcu widząc, że stał się wśród żeńskiej części Czerniowiec „niemożliwym", wyjechał ztamtąd.

Wiadomości dyecezyalne. Arshidyecezya lwowska obrz. łać.: Kanoniczną instytucyę na probostwo w Budzanowie otrzymał ks Drozdowski, proboszcz w Petlikowcach. Administracyę w Narolu (*excurrendo*) objął ksiądz Andrzej Pączek, prob. w Lipsku; w Zastawnie ks. Władysław Bartz, dotychczasowy administrator w Czerniowcach. Przeniesieni: ks. Mikołaj Kulczycki, wikary z Żółkwi do Lipska; ks. Leon Kałkowski, admin. w Narolu, jako wikaryusz do Bełza; ks. Tadeusz Lang, admin. w Haliczu, pozostaje tam nadal w charakterze wikarego. — Dyecezya przemyska. Odznaczeni: *Usu R. et M.* ks. J. Burgilewicz, prob. w Nienaszowie, *exp. can.* ks. J. Falarz proboszcz w Nowemmieście i ksiądz Zygmunt Kwieciński prob w Załężu. Zamianowani: ks. Michał Biały, prob. w Przeczycy, dziekanem brzosteckim; ks. Jan Antosz, koop. w Brzyskach administratorem. Przeniesieni kooperatorzy: ks. J. Kudła z Kańczugi do Radymna, ks. K. Materna z Radymna do Kańczugi. Instytuowany na probostwo w Handzlówce ks. W. Krakowski. Prezentowany na probostwo w Przybyszówce ks J. Chmurowicz, koop. w Grodzisku. Zmarł dnia 9go lutego ks. Andrzej Sołtysik, jubilat-proboszcz w Sądowej Wiszni, urodzony w r. 1806, ord. 1835. R. i. p. — Dyecezya tarnowska: Zmarł w Nowem Rybiu ks. proboszcz Mikołaj Zgórski. Administratorem osieroconej parafii został ksiądz Władysław Dobrowolski. Przeniesiony z administracyi w Szczawnicy, na wikaryusza do katedry w Tarnowie ksiądz Jan Drożdż.

Ślub. Dnia 15go bm. odbył się w Czarnokońcach wielkich ślub panny Teofili Mickowskiej z p. Julianem de Szumyło Kulczyckim, auskultantem sądowym w Śniatynie.

Z niedzieli. Wczoraj wieczorem we Lwowie bawiono się bardzo dobrze w sali kasyna miejskiego na raucie Salomejek i w sali „Sokoła" na koncercie „Lutni". Raut ściągnął do kasyna sporo gości. Żywe obrazy, śpiew p. Gracka-Krzyżanowskiej, deklamacya p. Siemaszki urozmaicały gościom pobyt w sali. Na raut przybył arcyksiążę Leopold Salwator, pani Namiestnikowa z córką, ks. Sanguszko i wielu posłów sejmowych. Dochód z rautu przeznaczony na cele dobroczynne będzie znaczny.

Koncert „Lutni" powiódł się bardzo dobrze. Sala „Sokoła" była przepełnioną szczelnie publicznością, która hucznymi oklaskami darzyła zasłużone Towarzystwo śpiewackie. Obok efektownej kantaty Wiesnera na chór męski p. t. „Wyprawa krzyżowa" wykonała wczoraj „Lutnia" wyjątki z „Mszy uroczystej" Rossiniego.

Wystawa starożytności. Podjęta z takim nakładem pracy i zabiegów wystawa starożytności, obiecuje być jednym z najciekawszych i najwspanialszych działów. Organizowana przez niepospolitego znawcę sztuki naszej i zabytków przeszłości wybiega daleko poza granice jakiegoś amatorskiego tylko przedsięwzięcia, urządza się nie dla szczupłej garstki lubowników starożytności, ale dla szerokich kół społeczeństwa. Ma ona cel jasno wytknięty. Czem dla dzieła współczesnego malarstwa i rzeźby wystawa retrospektywna dzieł pędzla i dłuta tem samem będzie właśnie wystawa starożytności dla dzisiejszej sztuki, stosowanej do przemysłu: wstępem historycznym, wyjaśnieniem, jakiemi drogami sztuka ta kroczyła w wiekach ubiegłych, na jakich kształciła się wzorach etc. Każdy znajdzie tu coś, co go zajmie, oświeci, pouczy.

Dział ten ma być tak urządzony, aby nie tylko dawał pogląd na stan naszych rękodzieł artystycznych w przeszłości, ale zarazem aby rzucał światło na cywilizacyę i obyczaje Polski w czasach minionych, aż po koniec XVIII wieku. Uczony spotka tu z pewnością niejedną rzecz, która go zajmie żywo, artyście nastręczy się bogaty materyał do studyów i hojne źródło motywów dekoracyjnych i akcesoryjnych. Jeżeli zaś uprzytomnimy sobie, jak wysoko w dawnej Polsce cenioną była sztuka, stosowana do stroju, broni, sprzętu i t. d., jeżeli uprzytomnimy sobie, że niektóre jej gałęzie rozwinęły się znakomicie — pojmiemy łatwo jak wielką korzyść może z wystawy odnieść nietylko amator i badacz, nie tylko artysta, ale każdy chętny i zdolny rzemieślnik. Bogactwo motywów, stylów, kunsztowność dawnej roboty, świetny zbiór wyrobów płatnerskich, mieczniczych, złotniczych, hafciarskich, stolarskich etc. może bardzo dodatnio wpłynąć na rozwinięcie się smaku i gustu wśród rzemieślników naszych, którym nie brak zdolności, ale brak po większej części dobrych wzorów.

Wystawa starożytności obejmie, jak wiadomo, dawne zabytki religijne i obrzędowe, uzbrojenie, przybory rycerskie i kostyumowe, rzeczy użytku domowego, tudzież przedmioty dekoracyjne, fantazyjne i zbytkowe, a więc wyroby złotnicze, jubilerskie, odlewnicze, bronzownicze, płatnerskie, rusznikarskie, ślusarskie, stolarskie, snycerskie i t. p. okazy starożytnej mechaniki, jak słynne zegary dawne, instrumenta muzyczne, ceramika, szkło rznięte, kobierce, tkaniny, namioty, hafty etc. Nieodzownym warunkiem każdego okazu, jest jego *artystyczna wartość* czy to pod względem stylowej formy, czy dekoracyi. Przedmioty tak zwanej wielkiej sztuki (obrazy i posągi) są wykluczone; wyjątek stanowią portrety starożytne, jako ważne pomniki kostyumowe. Miniatury, medaliony, rękopisy miniaturowe, artystyczne oprawy i okucia ksiąg dawnych, są pożądane. Pierwszeństwo mają okazy roboty swojskiej, przedmioty zaś obcego pochodzenia uwzględnione będą o tyle, o ile na twórczość polską wpływały. Wystawa obejmie wszystkie narodowości, jakie w skład dawnej Rzeczypospolitej wchodziły, niemniej wszystkie jej warstwy społeczne z wyjątkiem ludu wiejskiego, którego sztukę pomieści pawilon etnograficzny.

Jak dotychczas komitet doznaje zewsząd wielkiego poparcia. Rodziny Sanguszków, Zamoyskich, Tarnowskich, Lubomirskich, Sapiehów, Krasickich, najchętniej otwarły dla celów wystawy podwoje tak cennych zbiorów, jak w Podhorcach, w Kurniku, w Dzikowie, w Przeworsku, Krasiczynie i t. p., Znani w kraju kolekcyoniści, jak Jan hr. Drohojowski, Władysław Łoziński i inni, przeznaczają również bogate swoje zbiory na wystawę. Bardzo żywy udział bierze również W. Księstwo Poznańskie. Prócz Zamoyskich z Kurnika zapowiedzieli uczestnictwo Szembekowie, Łąccy, Żychlińscy i w. i.

Niektóre rodziny staropolskie — jak Fredrów, Duninów Borkowskich, Polanowskich — uprosiły odpowiednie miejsca na zbiorową wystawę pamiątek historycznych rodzinnych, która zgromadzi wiele cennych okazów. Wielką wagę przywiązywał komitet do wystawy przedmiotów kościelnych. Dzięki staraniom, arcybiskup ks. Seweryn Morawski przyrzekł otwarcie skarbców podlegających mu świątyń. To samo uczynił biskup przemyski ks. Łukasz Solecki. Ze strony duchowieństwa ruskiego komitet doznał również najżyczliwszego poparcia: metropolita ks. Sylwester Sembratowicz wydelegował w tym celu ks. kanonika Antoniego Petruszewicza, znanego archeologa i historyka.

Co do kolektywnej wystawy miast (starożytna broń, zabytki cechowe, sprzęty ceremonialne itd.), którą usiłował komitet zorganizować, okazuje się, że miasta nasze niewiele zachowały pamiątek; mimo to jest nadzieja, że i ta wystawa będzie zajmującą.

Wspomnieć dalej winniśmy o udziale synagog, na które komitet baczną zwrócił uwagę ze względu na to, że przechowują się w nich nieraz niezmiernie cenne zabytki sztuki polskiej. Rozwinięta w tym kierunku akcya obiecuje plon świetny; dotąd zgłosiło już 19 synagog przepyszne sprzęty liturgiczne, hafty, makaty, wyroby ze złota. Pomiędzy niemi są zabytki tak wielkiej wartości, że na powszechnej

---

43)

WOJCIECH DZIEDUSZYCKI.

ŚWIĘTY PTAK

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

(Ciąg dalszy).

Meri-Pacht zbliżyła się do Amenty i rozpoczęła z nim poufałą rozmowę we dwoje.

— Patrzaj, Amento, — rzekła, — na te małpy, które żyją w wiecznej niezgodzie i w wiecznej szkaradzie! Czy nie poznajesz w nich ludzi i czy nie widzisz tego, że ta skała jest obrazem świata?

— Można to nazwać obrazem świata — odrzekł żołnierz, — jeśli kto spogląda tylko na czarną stronę życia ludzkiego, ale jest druga strona jasna. Człowiek ziemski jest czasem podobny do małpy, ale bywa także czasem podobnym do skrzydlatych, nieskalanych, nieśmiertelnych duchów, tworzących orszak Ozyrisa. Postaw pani, na tej skale świątynię, niechaj tę świątynię obsługują najświętsi kapłanie i nieśmiertelni aniołowie i niech do niej pielgrzymują zwyczajni ludzie, przedzierając się przez zawistny tłum pawianów, a wtedy tylko będziemy oglądali podobiznę świata ziemskiego.

— Niechaj i tak będzie! Ale powiedz mi Amento, coby robiły odwieczne skał mieszkańce, owe pawiany, do których jest podobną większość ludzi, gdyby ujrzały wśród siebie garstkę pielgrzymów, dążących do jakiej niewidomej świątyni, tam u szczytu skały?

— Coby robiły? Rzecz jasna. Robiłyby to samo, co robią ludzie zwyczajni, kiedy widzą kogoś dążącego do rzeczy górnych i pięknych, a dla nich niepojętych. Obrzucałyby pielgrzymów kamieniami i odłamami skały, szkodziłyby im, dybałyby na ich życie.

— A coby się stało, gdyby nasza Hesz-Aker była między tymi pielgrzymami i gdyby ją ojciec wyprawił z ludzkiej gromady na to, aby poszła między pawiany, w nadziei, że stanie się żoną ich dowódzcy?

— Straszne rzeczy mówisz Meri-Pacht, myśl się wzdryga na ich wspomnienie. Coby się stało? Sama odpowiesz i sama powiesz, że nie godzi mnie się mówić o takim sromie i o takiem nieszczęściu.

— A jednak jeżli zostaniemy przy twojem porównaniu i jeżli dodamy, że Hesz-Aker jest nieskalaną dotąd dziewczyną, idącą wraz ze swoją rodziną w pielgrzymkę świętą życia, czyż podobna nie widzieć tego, że wieziemy ją do Teb, nie po co innego, jak po to tylko, aby się stała własnością i pastwą pawianów?

— Aleź, na wielkie bogi! Czyż się nie znajdzie w stolicy królów naszych mąż prawy i dzielny, który naszej panience poda rękę na drogę żywota i który ją wyprowadzi na miejsce pierwsze pośród pielgrzymów dążących do świątyni ideału? Hesz-Aker warta takiego męża i dostanie go niezawodnie.

— I tybyś Amento, takiego męża, takiego opiekuna i przewodnika szukał pośród ciżby dworzan Faraonowych?

— A gdzieżbym go miał szukać, jeśli nie tam, gdzie się gromadzi to wszystko, co jest najlepszego i najświetniejszego w Egipcie?

— Czyż myślisz, że zacnych ludzi nie ma w Egipcie, po za stolicą, nie ma w stolicy po za królewskim dworem?

— Tego nie mówiłem, cnotę znajdziesz wszędzie, znajdziesz ją także w ubóstwie i w zapomnieniu.

— W ubóstwie i w zapomnieniu częściej stokroć jak pośród gwaru świata.

— Aleź Hesz-Aker nie może się stać żoną cnotliwego żołnierza albo rolnika, który nie stanął u czoła narodu. Ona nie wychowana ani do niskiej chaty, ani do skromnego dworku. Nie powinna zejść z wyżyny, na której się narodziła.

— A jakżeż chcesz, żeby zeszła? Niech pójdzie za męża cnotliwego, który potrafi ją ochronić przed ludzką gawiedzią, który potrafi uczcić umarłych jej przodków, a będzie panią na Sni i jedną z pierwszych w Egipcie. Nie potrzeba zaiste, ażeby jej mąż użyczał cudzego blasku.

— Nie, pani, potrzeba, aby swoją niskością nie obniżył jej wywyższenia. Nie wiem, dlaczego to tak jest, ale wreszcie żona staje zawsze na poziomie, na którym jej mąż był przed ślubem. Jeźli Hesz-Aker pójdzie za kogoś niższego od siebie, samą siebie poniży.

— Nie tak. Tu zostało zniesionem prawo, które zwykle dolą ludzką władnie. Chceszli Hesz-Akerę poniżyć? Wydaj ją za człowieka możnego w Egipcie. Chcesz ją wywyższyć, wydaj ją za człowieka prawego, za człowieka rycerskiego albo kapłańskiego stanu, rozumie się, ale za człowieka, o którego przodkach nie zbyt głośno było na ziemi i którego majątek w porównaniu z jej majątkiem jest jako jedna fala piasku w porównaniu z ogromem martwej pustyni. A wtedy pozostanie sobą, nie będzie niczyją żoną, tylko będzie miała męża, nie będzie matką ojcowskich dzieci, tylko będzie ogniwem łączącem dawnych, umarłych Amenemhów i Ozortazenów z naszymi, nienarodzonymi dotąd Amenemhami i Ozortazenami.

— A gdzież znajdziesz męża zacnego i z rycerskiej rodziny, męża, któryby sam siebie szanował, a któryby chciał nie być mężem, tylko szafarzem swojej żony? nie ojcem swoich dzieci, tylko jakimś dziwnym piastunem cudzego pokolenia?

Na tę odpowiedź umilkła Meri-Pacht. Spotkała się z dumą męską, której się nie spodziewała i którą nieostrożnie podrażniła i należało się zaniechać dalszej rozmowy. Ale ta duma wydawała jej się nowym zadatkiem tego, że dobry zrobiła wybór, układając sobie, aby Amento był mężem Hesz-Akery. Więc nie zrzekła się wcale swoich zamiarów i owszem postanowiła wytrwać przy nich.

C. d. n.

wystawie wiedeńskiej w roku 1873 ogólny budziły podziw.

Komitet zwrócił się również do pierwszorzędnych muzeów austryackich, które posiadają pamiątki polskie, aby zabytki te nadesłały na wystawę lwowską, i pożyczka je niewątpliwie; co ważniejsza jednak, oto jest nadzieja, że ze skarbca dworu cesarskiego otrzyma szereg sławnych gobelinów, przedstawiających odsiecz Wiednia, a prócz tego t. zw. kobierce staropolskie złoto-jedwabne.

Ukażą się również pamiątki polskie przechowywane w muzeum narodowem peszteńskiem, rapperswylskiem itd.

Jak więc widzimy, komitet dokłada wszelkich starań, porusza wszystkie możliwe sprężyny, aby rzecz całą postawić na możliwie wysokiej stopie; powinni też wszyscy iść mu na rękę, gorąco popierać jego cele, zgłaszać zabytki jak najliczniej, aby w dniu popisu teraźniejszych naszych dorobków na polu cywilizacyi wystąpiła zarazem przed oczy zamarła przeszłość w dostojnym blasku. Jestto obowiązkiem patryotycznym; idzie tu nie o jednostki, lecz o cały naród, który pod każdym względem winien przed zagranicznymi gośćmi wystąpić godnie, pokazać im, czem był i czem jest.

Więcej uwagi! Lwowskie „Towarzystwo oświaty ludowej" utrzymuje we Lwowie kilka wypożyczalni książek, przeznaczonych głównie dla robotników, sług i uczni szkół ludowych. W bibliotekach tych wypożyczalni znajdują się przeważnie utwory popularne polskich pisarzy. Cel wypożyczalni tych bardzo szlachetny, ale niestety czasami wskutek nieuwagi bibliotekarzy, w ręce wypożyczających dostają się książki zupełnie nieodpowiednie. Oto donoszą bowiem, iż w tych dniach do jednej z wypożyczalni zgłosił się uczeń II klasy szkoły ludowej. P. bibliotekarz nie przebierając wcale wśród książek, wypożyczył mu „Domowy poradnik lekarski" dra Jana Stelli Sawickiego. W poradniku tym pierwszy rozdział traktuje o tem „jak się powinna zachować kobieta ciężarna". Z lektury uczeń ów żadnej nie odniósł korzyści, a sądzimy, że mała u nas ze strony p. bibliotekarza, mogłaby temu zapobiedz, aby nieodpowiednie książki nie dostawały się do rąk młodzieży.

O tragicznym wypadku donoszą z Warszawy: Na stacyi Chęciny, przed peronem dworca z soboty na niedzielę przejechał pociąg konduktora Władysława Tożnika i to w warunkach nadzwyczaj przykrych. Konduktor Tożnik, przy przestawaniu pociągu na stacyi Chęciny o godzinie 12-tej w nocy, widocznie spadł ze stopni wagonu i uległ zmiażdżeniu nogi. Wypadku tego przy ciemnej nocy, padającym śniegu i deszczu, nikt z kolegów nie zauważył, ponieważ najprawdopodobniej ranny zemdlał z bólu. Po chwili przyszedł do przytomności i usiłował przyczołgać się z drugiej linii szyn, przy której leżał, do pierwszej linii obok peronu, lecz siły go opuściły, wyciągnięty na szynach, powtórnie wpadł w omdlenie. Tu właśnie mieści się cała groza wypadku, nadchodzący bowiem drugi pociąg w 30 minut po pierwszym, literalnie przeciął nie szczęśliwego na dwoje. Władysław Tożnik liczył zaledwie 26 lat wieku, był od niedawna żonatym i dopiero przed dwoma miesiącami został przyjęty do służby.

Zjazd delegatów Towarzystw muzycznych i śpiewackich odbył się wczoraj we Lwowie w sali Towarzystwa muzycznego. Obradom przewodniczyli na przemian poseł Anatol Wachnianin i radca Madeyski z Sambora. Po załatwieniu rozmaitych formalności dokonano wyboru wydziału „Związku".

Prezesem wybrano dra Aleksandra Tchórznickiego, wiceprezesem dra Władysława Żeleńskiego (Kraków). Członkami wydziału pp. Michała Biernackiego (dyr. Tow. muz. w Stanisławowie), Stanisława Cetwińskiego („Lutnia"), Ludwika Dietza (dyr. Tow. muz. w Przemyślu), Stanisława Melińskiego, Stanisława Niewiadomskiego, Adama Ołowskiego (Echo), Dyonizego Thota i Anatola Wachnianina („Bojan").

Pierwszy zjazd Towarzystw śpiewackich odbędzie się we Lwowie podczas wystawy krajowej w roku bieżącym.

Z Tarnopola nam piszą: We wtorek dnia 13 bm. zmarł tu nagle wskutek wady sercowej p. Feliks Kirchner, sekretarz tutejszego starostwa, przeżywszy lat 53. Śmierć zaskoczyła go w sądzie, gdzie się znajdował w sprawie urzędowej.

Walne zgromadzenie członków Koła polskich szermierzy odbyło się dnia 13 b. m. Na porządku dziennym było uzupełnienie wydziału, w skład którego weszli: Janusz Slepowron Kołodziejski prezes; Janusz Kaczor, wiceprezes; Otto Redl, sekretarz; Fryderyk Wegszaider, skarbnik; Eugeniusz Koeppel, gospodarz; Kazimierz Poliński, zastępca wydziałowego; Juliusz Orłowicz, zastępca wydziałowego.

„Sokół" przemyski uchwalił rozpocząć na wiosnę budowę własnego gmachu wedle planów inżyniera p. Franciszka Czecha.

Z Bełza nam piszą: Od 10go do 16go lutego miewał ks. Długołęcki T. J. konferencye rekolekcyjne dla grona tutejszej inteligencyi. Jasny, piękny, potoczysty wykład i ta siła przekonania, która z każdego tryskała słowa, nie tylko żywo zainteresowały słuchaczy obojga płci, którzy prócz inteligencyi z miasteczka, z dość oddalonych dworów mimo fatalnej drogi, przez wszystkie 6 dni bardzo regularnie gromadzili się — ale co ważniejsza, z dziwnem błogosławieństwem zstąpiły do serc i utorowały sobie drogę do niejednej duszy, uchylającej się od wszelkiego wpływu łaski Bożej. To też nie podobna było bez rozrzewnienia patrzeć jak wszyscy uczestnicy konferencyi, u stołu Pańskiego zjednoczeni, z pełnego serca dziękowali Bogu za tę chwilę podniosłą, której ponoś w życiu nie zapomną. Rekolekcye te dorzuciły o jeden dowód więcej, jak potrzebne są dla inteligencyi i jak doniosły wpływ wywierają na podniesienie poziomu moralnego i religijnego jej życia. Grono mężczyzn, które z własnej inicyatywy zebrało się na dworcu kolejowym, aby raz jeszcze uścisnąć dłoń ks. prelegenta, dowodzi — jak głęboko utkwiły jego słowa i rady. Oby tylko to ziarno świeżo rzucone trwałym uwieńczyło się plonem na przyszłość.

Oj kobiety! kobiety! Jeden ze znanych lekarzy w Petersburgu, przywołany został późnym wieczorem do domu, w którym stało się nieszczęście, gdyż osiemnastoletnia piękna jedynaczka wypiła truciznę w zamiarze samobójczym. Rozpacz rodziców, była oczywiście nie do opisania. Ze łzami w oczach błagali doktora o ratunek dla ukochanego dziecka. Doktor zapisał natychmiast antidotum, ale dziewczyna oparła się stanowczo przyjęciu. „Chcę umrzeć, powiedziała i umrę". Napróżno perswadował lekarz, napróżno płakali zrozpaczeni rodzice. Dziewczeka cierpiała okropnie, ale była niezłomną w postanowieniu. Wtedy lekarz postanowił użyć podstępu. Oddalił z pokoju rodziców i zbrajając się do swej pacyentki, rzekł: „Nie dosłyszałem ile pani wypiła tej trucizny?" Zdaje mi się, że mówiła pani o całej szklance, dziwna rzecz, że mimo to ostateczny skutek nie nastąpił?" „O nie było więcej, jak ćwierć szklanki", brzmiała odpowiedź. „Nie więcej jak ćwierć szklanki?" Doktor machnął ręką. „W takim razie nie potrzeba antidotum. Skończy się tylko na kilkogodzinnej słabości, a potem przyjdzie pani zupełnie do siebie. Szkoda tylko, że wskutek tego pani schudnie, straci cerę a po całem ciele rozejdzie się sieć ciemnych, szpecących żyłek". Jeszcze doktor nie skończył mówić, a już panienka wyciągnęła rękę po antidotum.

Ostatnie słowo reklamy. Chcąc nadać rozgłos powieści młodziutkiego autora, pewien wydawca niemiecki umieścił w dziennikach pod rubryką: „Małżeństwa" następujące ogłoszenie: „Młody człowiek, majętny, z dobrej rodziny, poszukuje małżonki tak pięknej i zacnej, jak Marya Deuthaler, wspaniała bohaterka romansu p. von M. itd..."

Wszystkie panny na wydaniu kupowały tę książkę, chcąc się przekonać, czy też nie posiadają warunków odpowiednich.

Bal maskowy. Wypadek, przypominający mimowoli treść znanej opery Verdiego: „Il ballo in maschera", rozegrał się w ostatni poniedziałek na balu maskowym w „Teatro Municipale" w Modenie. Sala była przepełniona. Wśród szalejących z prawdziwie włoską werwą tancerzy, odznaczał się szczególniej znany w mieście z urody i bogactwa 19-letni Filiberto Medici, syn przemysłowca. Tańcząc kolejno z różnemi maskami, wziął wreszcie jakąś nieznajomą i w walcu naraz padł na ziemię. Okazało się, iż w piersiach jego tkwi sztylet po samą rękojeść, ponieważ zaś dosięgnął serca, więc Medici legł trupem na miejscu. Maska, która w tańcu zadała mu ten śmiertelny cios, korzystając z tłoku i zamieszania, przepadła bez śladu. Policya aresztowała 10 kobiet, mających podobne do morderczyni kostyumy, na ślad sprawczyni jednak nie trafiła. Przypuszczają, iż mordercą mógł być przebrany za kobietę mężczyzna, działający z pobudek zemsty, jako rywal młodego Mediciego.

Zakażenie krwi od zapałki. Pewien młody oficer w Monachium, zapalając cygaro, sparzył się w lewą rękę iskrą, która od zapałki odskoczyła. Nazajutrz uczuł ból w całej ręce, trzeciego dnia ból rozszerzył się na ramiona, czwartego na twarz i głowę. Następnie nieszczęśliwy oślepł najpierw na lewe oko, potem na prawe a szóstego dnia, mimo pomocy lekarskiej, skonał wśród strasznych cierpień na zakażenie krwi.

Z Osieka pod Żmigrodem umieściliśmy niedawno wiadomość, że p. notaryusz Obmiński ze składek przeznaczonych na oświatę włościan, zaprenumerował dla kilku zwierzchności gminnych *Przyjaciela ludu*. Donoszą nam teraz, że p. Obmiński zaprenumerował to pismo, nie ze składek, lecz z własnych funduszów.

Komentarz do tajemnic spirytyzmu. Kuglarze dzielą się na dwie kategorye: jedni posiadają ogromny spryt w palcach, drudzy wrażliwość wzroku rozwiniętą do tego stopnia, że widzą w ciemności; z pierwszych rekrutują się prestidigitatorowie, z drugich spirytyści, którzy dostąpili nawet tego honoru, że ludzie nauki zajęli się nimi całkiem seryo i stworzyli im legiony zwolenników. Wobec tego będzie rzeczą interesującą przytoczyć artykuł, który znajdujemy w jednem z pism zagranicznych w tej kwestyi. „Spirytystów" czytamy tam „należy przedewszystkiem podzielić na oszustów, oszukiwanych i chorych. Z dzieła traktującego o spirytyzmie obudziła wielki interes książka p. t. „Spowiedź medyum", w której niejaki p. Parker odsłania szacherki spirytystycznych szarlatanów.

Parker, jak z książki jego widać, jest nadzwyczajnie religijnym, honorowym, a przytem słabego charakteru młodym człowiekiem. Z takimi przymiotami wpadł on w kółko spirytystów, przyglądał się wszystkim ich występom, a nakoniec został uczniem i towarzyszem „znakomitego" amerykańskiego medyum Thomsona, który występował w Londynie. Thomson wtajemniczył młodego człowieka w tysiące spirytystycznych cudów. Sądząc, że jest już dostatecznie otumaniony, zaczął mu stopniowo odkrywać karty. Oświadczył mu więc, że duchy nie pojawiają się zawsze, że na bardzo wielu seansach zupełnie nic się nie pokazuje, ponieważ zaś na publicznych przedstawieniach mogłoby to mieć nieprzyjemne skutki, należy naprzód postarać się, aby módz „pomagać naturze". I tak Thomson pokaże publiczności przed nastaniem zupełnej ciemności w sali swoje próżne kieszenie, a Parker, jako jego wspólnik, będzie miał przy sobie w małych flaszeczkach gaz dający fosforyczne światło w ciemności, dalej nożyce, igłę, nici itd.

I te dość już wyraźne objaśnienia nie otworzyły oczu Parkerowi, do takiego stopnia potrafił obałamucić go Thomson swoim szarlatańskim mistycyzmem. Zwyczajnie przed przedstawieniem Thomson kazał się zaszywać do worka, żeby publiczność widziała, iż nie może pomagać jawieniu się duchów. Potem jednak po ciemku rozpruw no worek nożycami i Thomson był wolny. Wtedy wypuszczał gaz z flaszeczek i po sali zaczynały latać błędne ogniki, a dzięki sztucznie ułożonym draperyom tworzyły się fantastyczne figury. Dalej szło wszystko według programu: stoły podnosiły się i przelatywały z miejsca na miejsce, obecni czuli oddech duchów około twarzy, słowem Thomson urządzał wszystko z wzorową precyzyą. Przed wniesieniem światła z pomocą igły i nici Parker zaszywał go pospiesznie do worka, gdzie znachodzono go w głębokim śnie przy towarzyszeniu potężnego chrapania.

W ten sposób cały talent medyumu redukował się do tego, że ten jegomość widział w ciemności i mógł poruszać się z równą swobodą jak inni w dzień albo przy świetle. Do tego przyłączał się jeszcze spryt i pewne obznajomienie z prawami fizyki. Słowem medyum było prostym kuglarzem i niczem więcej ponad to.

Kiedy jednak Thomson zaszedł za daleko w „pomaganiu naturze", jak np. przy „fotograficznem zdjęciu duchów", do którego kazał pozować Parkerowi w fantastycznych kostyumach, wtedy młodemu człowiekowi otworzyły się nareszcie oczy. Zrozumiał, że wszystkie eksperymenta jego mistrza są szachrajstwem, i natychmiast porzucił swoje rzemiosło. Aby go zatrzymać, Thomson zrzucił z siebie zupełnie maskę i przyznał się, że zabawia publiczność za jej pieniądze, tak jak każdy prestydygitator. Ale młody Parker był zbyt uczciwym, aby się na to zgodzić, rozstał się więc z mniemanym spirytystą i w dużej książce pod wymienionym powyżej tytułem opisał spostrzeżenia swoje nad światem duchów sir Thomsona i jego kolegów.

Zmarli. Stanisław Pieniążek, właściciel dóbr ziemskich, żołnierz 2go pułku strzelców konnych z roku 1831, członek byłych stanów galic., umarł w Kowalowach, w 85 roku życia. — Maciej Switalski, profesor gimnazyalny, umarł we Lwowie w 49 roku życia.

Stan powietrza. Term. — 6° o godz. 8 rano, w poł. + 8° R. Barom. 770. Śnieg.

Aforyzmy.

Nie wierzcie porannemu uśmiechowi kobiety. Kto wie, czy przez całą noc nie płakała.

Namiętności czynią najwierniejsze spostrzeżenia, lecz wyciągają z nich najfałszywsze wnioski.

Serce nieposażnej panny na wydaniu jest coraz częściej podobne do książki. Rzadko kto chce ją przeczytać, ale każdy radby dla zabicia czasu kartki przewracać.

Przyjaciele podobni są do parasolów. Najczęściej brak ich wtedy, gdy... deszcz pada.

Rozmaitości.

— **Kredyt sercowy.** Roderyk Kenneth, to filantrop amerykański, który czas swój trawi na obmyślaniu środków ku uszczęśliwieniu ludzkości. Oto ostatni jego wynalazek z tej dziedziny. Niepodobna odmówić mu przynajmniej oryginalności.

Zastanawiając się nad korzyściami i niedostatkami przyjaźni, Kenneth doszedł do wniosku, że pierwsze są nader cenne, ale drugie nadzwyczaj liczne; posuwając się na tej drodze dalej, nabrał przekonania, że przyjaźń taka, jaką praktykujemy dotychczas, jest wadliwą, i że należałoby na jej miejsce ustanowić poprostu przedsiębiorstwo handlowe. Jego siedliskiem mógłby być Nowy Jork. Zadaniem tego „interesu" byłoby dostarczanie po „cenach stałych" wszelkich usług, jakie obecnie wyświadcza przyjaźń głęboka i wypróbowana. Przedsiębiorstwo to z kapitałem akcyjnym nosiłoby miano „Kredyt sercowy". W ajencyach i biurach tej szlachetnej instytucyi możnaby znaleść ojców chrzestnych, świadków do pojedynków i ślubów, powierników (któych dyskrecyę poręczałoby Towarzystwo asekuracyjne), towarzyszów podróży, rutynowanych pocieszycieli itd. Ojcowie chrzestni i świadkowie mają być rekrutowani w świecie wyższym, a usługi ich opłacać się będzie według tytułów lub starożytności ich rodów.

Wybór towarzysza podróży jest daleko trudniejszym. Jeden i ten sam człowiek nie może służyć do wycieczki po Włoszech i do podróży po Norwegii. Zachwyt objawia się w inny sposób w Rzymie jak w Chrystyanii, i niepodobna w ten sam sposób podziwiać słońca, jak się podziwia góry lodowe. Pomiędzy towarzyszami podróży powinna być wspólność upodobań i charakterów przy różnorodnej kulturze umysłu. Jeżeli — chcąc odbyć dalszą wycieczkę — z żądaniem towarzysza zwrócisz się do „Kredytu sercowego", będziesz miał do czynienia przedewszystkiem z inspektorem, który zada ci pytania co do twoich przyzwyczajeń i gustów, obejrzy twój apartament, zasięgnie informacyi u twej kucharki, i zważywszy te wszystkie dane, złoży raport dyrekcyi, która, opierając się na jego wskazówkach, wybierze ci towarzysza podróży.

„Pocieszyciel" należeć będzie do wyższej kategoryi ajentów.

Czy nie zdarzyło ci się nigdy, czytelniku, w wielkiem nieszczęściu szukać duszy współczującej, a natomiast znajdować — rękę banalną, która ściska twą dłoń bez istotnego wzruszenia? Chcąc złagodzić twój ból, przyjaciele zasypują cię utartemi frazesami; drażnią cię one tylko, zamiast uspokoić. Jeśliś utracił fortunę, mawiają ci zwykle: „Straty materyalne — to rzecz mniejszej wagi. Dzięki Bogu, pozostała ci inteligencya, przy której pomocy odzyskasz, coś utracił. Gorzejby było gdybyś został tknięty paraliżem?" Jeśliś utracił żonę, powiadają ci nieodmiennie: „Ha! takie przeznaczenie. Jedno z dwojga musi zejść pierwej ze świata. Ci, którzy odchodzą, szczęśliwsi od tych, którzy pozostają" itd.

„Kredyt sercowy" zapewni sobie usługi znakomitych psychologów, którzy studyowali specyalnie dział: pociechy duchowej. Ci lepiej stokroć od przyjaciela lub krewnego potrafią znaleść słowa proste a wzruszające; znać będą całą gamę objawów współczucia, potrafią ściskać rękę wymownie, potrafią powiedzieć te trzy słowa: „Mój biedny przyjacielu" — z taką intonacyą głosu, iż nieszczęśliwy klient rzuci się odrazu w ich objęcia i znajdzie tam ulgę w cierpieniu.

Przyjaciel nie zawsze bywa inteligentnym. Częstokroć, pragnąc nas ująć, rani boleśnie. Drobne utarczki stają się nieraz powodem zerwania węzłów przyjaźni, przecina je nieraz zdrada zaufania; zresztą, choćby się otrzymywało dowody zaparcia, pociąga to za sobą uciążliwe koniec końców — obowiązki wdzięczności. Mając do czynienia z agentem „Kredytu sercowego", jest się wolnym od wszelkich tych przykrości. Gdy agent popełni jaką niezręczność, Towarzystwo odszkodowuje klienta, takie są bowiem warunki umowy.

Wreszcie jeśli dany agent cię zawiedzi, możesz zażądać innego. Wdzięczność twoja za te usługi „przyjacielskie" oznacza się wedle taryfy i w każdej chwili wiesz dobrze, ile cię kosztuje jego poświęcenie, zaparcie itd.

Roderyk Kenneth pragnąłby przyłączyć do „Kredytu sercowego" instytucyę, którą nazwałby „Kantorem miłości", lecz obawia się złośliwych języków. „Kantor miłości" byłby przedsiębiorstwem flirtu; nie przekraczanoby tam nigdy granic czystego platonizmu. Lecz, niestety, mało jest dotychczas kandydatów, którzyby się chcieli zastosować do tego ścisłego regulaminu...

Część ekonomiczna.

Wiedeń 17 lutego.

(Z) Oczekiwanie ogłoszenia bilansu Zakładu kredytowego wprawia spekulantów naszych w formalną gorączkę, w braku pewnej wiadomości nie mogą oni bowiem urządzać swych operacyi i dla tego też w pierwszorzędnych walorach międzynarodowych panuje wciąż zastój. Dziś opowiadano, że dywidenda od kredytów wyniesie prawdopodobnie 19 złr tz. prawie 12% od nominalnej wartości akcyi (160 złr.) Była to jednak tylko pogłoska, którą byłoby niebezpiecznie eskontować już z góry znaczną haussą, gdyż nie wiadomo jeszcze jaką część z zysków osiągniętych przy konwencyi wstawi Dyrekcya Zakładu kredytowego w bilans roku ubiegłego i ile przeznaczy na dotacyę nadzwyczajnego funduszu rezerwowego. O ile jednak na targu papierów bankowych nie mógł żadną miarą rozwinąć się żwawszy ruch o tyle bardziej ożywionym był targ walorów górniczych i lokalnych. Akcye fabryki broni i dziś podskoczyły o 18 złr., a praskie akcye żelazne o 6 złr.

Sytuacya na targach zagranicznych sprzyja zwyżkowej tendencyi, gdyż Berlin wciąż jeszcze jest pod korzystnem wrażeniem traktatu z Rosyą, a kontrmina paryska poniosła stanowczą porażkę w kampanii przeciw rencie włoskiej i musi obecnie ją odkupywać po znacznie wyższym kursie. Z Pesztu donoszą, że niebawem powstanie tam nowy bank pod nazwą „Węgierskiego banku narodowego" z kapitałem 20 milionów reńskich. Połowę, t. j. 10 milionów, już złożyli akcyonaryusze.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 361·60, węgierskie 434·50, Anglobanki 157·60, Uniony 264·—, Bankvereiny 131·50, Länderbanki 256·40, Ludwiki 217·—, Czerniowieckie 264·—, Elbethale 242·50, Renta papierowa 98·10, srebrna 97·90, austryacka złota 120·20, 4% austr. renta wal. kor. 97·50, węgierska złota 117·60, 4% węgierska renta wal. kor. 95·—, dukat 5·92, 20-frankówka 9·94—, marki 12·23, ruble 1·34.

§ **Dodatek I. do taryfy wyjątkowej** dla zboża i t. p. zawierający różne zmiany postanowień tabeli taryfowej i wykazu odległości kilometrycznych wejdzie w życie z dnia 1 marca br. Nabyć go można w biurach zarządów kolejowych.

§ **Stacya Nowosielica** wciągniętą została do ważnego od 1. sierpnia 1893 dodatku do taryfy dla północno-niemieckiego ruchu zbożowego z Galicyą i Bukowiną.

Proces anarchistów.

(Telegram „Przeglądu").

Wiedeń 19 lutego. Dziś rozpoczął się tu proces przeciw wiedeńskim anarchistom. Na ławie oskarżonych zasiadło 14 osób, sami czeladnicy, między nimi sześciu stolarzy, z których najstarszy ma 51, a najmłodszy 20 lat. Dziesięciu oskarżonych jest żonatych, a niektórzy z nich mają liczne rodziny.

Akt oskarżenia zarzuca 13 podsądnym zbrodnię zdrady głównej, 12 przekroczenie ustawy o przechowywaniu materyi wybuchowych, siedmiu oskarżonym namawianie żołnierzy do dezercyi i do złamania przysięgi służbowej, tudzież podżeganie do wojny domowej, a trzem zakłócenie publicznego spokoju i porządku. Do rozprawy powołano 21 świadków.

W motywach aktu oskarżenia kreśli prokurator szczegółowo dzieje ruchu anarchicznego w Wiedniu od r. 1880 aż do dni naszych. Przedewszystkiem skonstatowano, że przez lat sześć, a mianowicie od r. 1886 do 1892 nie było w Wiedniu żadnego zamachu anarchicznego i zdawało się, że ruch ten jest uśpiony, czego powodem było uwięzienie, ucieczka lub wydalenie przywódzców. Ponowny objaw życia dało stronnictwo anarchistyczne dopiero na wiosnę 1892 przez odłączenie się frakcyi t. z. „niezawisłych" socyalistów od stronnictwa socyalno-demokratycznego, które w tym czasie bardzo spotężniało. Rozdział ten uskuteczniono przez wydrukowanie za granicą odpowiedniego manifestu, który uległ konfiskacie. Wkrótce potem założono organ partyjny p. t. „Die Zukunft".

Od marca 1893, wychodzi drugi organ anarchiczny w języku czeskim p. t. *Wolne Listy*. „Niezawiśli" socyaliści mają przeszło dziesięć stowarzyszeń w Wiedniu. Na dowód, iż „niezawiśli" socyaliści są anarchistami, powołuje się prokuratorya między innemi także i na to, że w listopadzie r. z. starali się oni u władzy o pozwolenie dodania do tytułu swego dziennika dodatku „Organ teoretycznych anarchistów". Anarchiści wiedeńscy tworzyli małe potajemne kluby, które komunikowały się ze sobą przez mężów zaufania. Kluby te miały tajne drukarnie i zajmowały się wyrobem materyi wybuchowych do celów terrorystycznych.

Na Wielkanoc 1893 r. mieli zrobić anarchiści wspólną wycieczkę do Liesingu, oddalonego o dwie mile od Wiednia, i urządzić tam na wolnem polu próbę, celem przekonania się, jaki efekt sprawia eksplozya wyrabianych przez nich materyi. Członkowie klubów anarchistycznych znani byli tylko pod pseudonimami, co niezmiernie utrudniało poszukiwania policyi. Najniebezpieczniejszym ze wszystkich był człowiek, znany w klubach anarchicznych pod nazwą „chorego" (der Kranke). Nazwa ta pochodzi stąd, że człowiek ten ma w wysokim stopniu rozwinięte tuberkuły i podobno zdecydowany był życie swe, które i tak uważał za stracone, poświęcić stronnictwu i wykonać zamach terrorystyczny. Policya dowiedziała się o tem i po bardzo żmudnych poszukiwaniach wykryła nareszcie kryjówkę dwóch najgroźniejszych terrorystów, a mianowicie Franciszka Haspla i Stefana Hahnela i we wrześniu 1893 r. aresztowano ich. W mieszkaniu ich znaleziono ukrytą prasę drukarską, tudzież mały magazyn materyi wybuchowych i części składowych bomb. Niektóre z tych bomb były tak skonstruowane, że podłożone, eksplodować miały dopiero po upływie kilku minut, inne zaś musiały wybuchnąć w chwili, gdy kto je rzucił.

Po kolei aresztowano potem także resztę oskarżonych. Hahnel przyznaje się tylko do tego, że wspólnie z Hasplem postanowił propagować swoje idee przewrotowe przez rozrzucanie pism ulotnych, że pisma takie drukował i przy pomocy osób, których nie chce wymienić, rozrzucał po domach i ulicach. Jedno z takich pism ulotnych miało tytuł „do proletaryuszy", drugie „do robotników w mundurze żołnierskim", w mieszkaniu zaś Hahnela i Haspla znaleziono trzecie pismo, zatytułowane „do mas ludowych Austryi" i wzywające wprost do urządzania terrorystycznych zamachów.

W dalszym ciągu oświadcza prokurator, że Hahnela, Haspla i ich towarzyszy można całkiem słusznie postawić na równi z owymi strasznymi apostołami anarchizmu, których czyny od kilku lat napełniają Europę zgrozą i obrzydzeniem. Haspel stara się wykręcić i utrzymuje, że nie miał nic z bombami do czynienia i że te bomby, które w mieszkaniu znaleziono, musiała policya podczas rewizyi potajemnie podłożyć, towarzysz jego zaś Hahnel tłumaczy się w ten sposób, że chciał tylko spróbować, czy uda się mu sporządzić materyę wybuchową, ale że nie miał wcale zamiaru urządzać zamachów. Nadto oświadcza Hahnel, że stronnictwo jego miało zamiar dopiero w razie wybuchu rewolucyi używać bomb przeciw wojsku i policyi.

Oprócz materyi wybuchowych znaleziono u Hahnela i Haspla także arszenik w takiej ilości, że można nim było kilkaset osób zgładzić. Wreszcie dochodzi prokuratorya w akcie oskarżenia do konkluzyi, że w Wiedniu istnieje jeszcze organizacya tajnych klubów anarchistycznych, które są wierne anarchistycznym zasadom, a tylko jednolitego kierownictwa nie mają, a uchwały ich zapadają przy sposobności, gdy mężowie zaufania razem się zeidą.

Po tem ogólnem uzasadnieniu, przechodzi akt oskarżenia do szczegółów i wykazuje udział każdego z oskarżonych w zarzuconych im zbrodniach.

Wiedeń 19 lutego. Trybunał uchwalił całą rozprawę przeprowadzić tajnie, jakkolwiek obrońcy domagali się, aby przynajmniej niektóre jej ustępy przeprowadzone były na publicznem posiedzeniu. Wejścia do gmachu sądowego strzeże silny oddział żołnierzy.

Telegramy „Przeglądu".

Peszt dnia 19 lutego. Sejm węgierski rozpoczął dziś debatę nad ustawą o ślubach cywilnych. Przed gmachem zebrały się olbrzymie tłumy ludzi i witały okrzykami p. Weckerlego i ministra sprawiedliwości Szillagyiego.

Rio de Janeiro 19 lutego. Żółta febra grasuje w porcie tutejszym tak strasznie, że wszystkie obce okręty wypłynęły na pełne morze, aby ocalić swe załogi.

Londyn 19 lutego. Urzędownie zaprzeczają pogłoskom, jakoby w łonie gabinetu wybuchło przesilenie. Gazeta westminsterska doniosła, że Gladstone chory jest na kataraktę, urzędownie jednak zaprzeczono temu.

Rzym 19 lutego. Wczoraj na zakończenie uroczystości jubileuszowych celebrował Ojciec św. mszę w bazylice św. Piotra. W kościele zebrali się reprezentanci ciała dyplomatycznego, tudzież przeszło 50.000 osób. Ojca św. powitano i żegnano entuzyastycznymi okrzykami. Papież wygląda dobrze i donośnym głosem błogosławił zebranych.

Peszt 19 lutego. Stronnictwo liberalne na wczorajszem posiedzeniu wśród burzliwych okrzyków „Eljen" przyjęto projekt ustawy o ślubach cywilnych. Grecko-katolicki kapłan Rezei, należący do stronnictwa liberalnego, oświadczył, że głosować będzie przeciw tej ustawie, wszelako we wszystkich innych kwestyach popierać będzie rząd.

Sofia 19 lutego. Księżna bułgarska znów zachorowała. Zawezwano telegraficznie z Wiednia trzech lekarzy.

Przyjechali do Lwowa

dnia 19 lutego 1894

HOTEL ŻORŻA. A. Abrahamowicz z Targowicy. O. Ozłowski z Połowiec. J. Gal z Krakowa. J. Kozubski z Tarnowa. A. Witoszyński z Sanoka. J. Gaweł z Sanoka.

HOTEL FRANCUSKI. T. Wajdowski z Bóbrki. A. Stecki ze Srodopolca. J. Jaruntowski z Załanowa. S. Janowski ze Stanisławowa. Z. Younga z Porzycza. Ksiądz Wołoszyński z Przemyśla. H. Szanecki z Mielca.

HOTEL EUROPEJSKI. E. Laukotka z Doliny. T. Chryściński z Krakowa. H. Ramelmüller z Lincu. S. Szumlański z Krzywego. K. Wollmann z Krasnobrodu. J. Teltsch ze Stanisławowa. A. Radocki z Żywca. St. Różycka z Tarnopola.

HOTEL VICTORIA. J. Chylewski z Tarnowa. J. Żarowski z Tarnopola. A. Lex z Wiednia. Weinberger z Wiednia. J. Margolin z Czerniowiec.

HOTEL IMPERIAL. H. bar. Holban z Rumunii. B. hr. Lasocki z Krakowa. W. Abrahamowicz z Polanki. E. Pawlikowski z Siedlisk. R. Ujejski z Pawłowa. T. hr. Starzyński z Derewniczy. B. Süskind z Czerniowiec. S. Stopczyński z Wiednia. J. Lippus z Gródka. P. Komarnicki z Potoka. Burzyński z Bursztyna. H. Kutów z Wiednia.

HOTEL CENTRALNY. A. Bartkiewicz z Lubaczowa. B. Taubenschlag z Przemyśla. J. Rudolf z Wiednia. K. Pilewski z Kamionki. P. Kowenicki z Krakowa. M. Borowski z Podhajec. Łodyński z Milatyna. F. Piątkiewicz z Tarnopola. W. Włodek z Jasła. Jabłoński z Czerniowiec. M. Szczepański z Bolanowic. K. Olszański z Szupolkowa. W. Puchalski z Sokala. A. Stolley z Wiednia. J. Schickofer z Wiednia.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie za nią żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 19 lutego. (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 216·— do 219·—. Kolej Lwow.-Czern. Jassk. po 200 zł. w. 263.— do 266·—. Banku hipotecznego po 200 zł. w. a, 367·— do 377·—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. gal. 5% losow. w 40 lat. 100·80 do 101·50, 5% z 10% prem. 109·80 do 110·50, 4½% los. w 50 lat. 100·— do 100·70. Banku krajowego 4½% los. w 51 lat. 100·50 do 101.20. Banku krajowego 4% los. w 57 lat. 97·30 do 98.—. Tow. kredyt. gal. ziemsk. 4% (I. emisya) 98·40 do 99·10. 4% los. w 41½ lat. 98.30 do 99·—, 4% los. w 56 latach 98·30 do 99·00. 4½% los. w 52 lat. —·— do —.—.

Obligi za 100 zł.: Galic. funduszu propinacyjnego 4% 97·10 do 97.80. Bukow. funduszu propinacyjnego 5% 102·— do 102·70 Kom. banku krajowego 5% w. a. II. em. 102·30 do 103·—, Pożyczki krajowej 6% 105·— do —·—, 4½% 100·— do 100 70 4% z roku 1891 96·20 do 96·90 4% z roku 1893 96·20 do 96·90.

Monety. Dukat cesarski 5·88 do 5·98 Napoleondor 9·89 do 9·99. Półimperyał 10·10 do —.—. Rubel rosyjski srebrny czy papierowy 1.30·— do 1.35·—. 100 marek niemieckich 61·— do 61·50.

Wiedeń dnia 19 lutego. (godz. 11 w połudn.). Kredyty 362.25, kred. węgierskie 436.—, Anglob. 157.80, Uniony 265.25, Bankvereiny 131.80, Länderbanki 256·80, Akcye tytoniowe 209·25 Staatsbahny 314.62, Lombardy 108.75, Elbethale 243·— Renta papierowa 98·12, Renta węg. 4% kor. 94·95 Renta węg. złota 4% 117·70, Alpiny 60·—. Marki 61·27 Losy tur. 64.90.

1

KRÓLOWA ZŁOTA.

POWIEŚĆ

PAWŁA d'AIGREMONT.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Tajemnica.

I.

Powrót.

D. 6-go marca r. 1881-go, omnibus kolejowy zatrzymał się przed wspaniałym pałacem, położonym przy ulicy św. Dominika.

Na głos dzwonka, ciężka brama dębowa roztworzyła się i powóz przebywszy ją, zajechał przed osłonięte markizą drzwi pałacowe.

Z omnibusu wysiadł mężczyzna o postawie pańskiej, liczący około lat czterdziestu i w tejże chwili podał rękę kobiecie młodej, okrytej futrem, słusznej, wysokiej — i, o ile można było sądzić z części twarzy, wyglądającej pomiędzy obszytym w futerko kapeluszem, nasuniętym aż na oczy, a boa, dochodzącem aż do uszu — cudownie pięknej.

W oknach pałacu pokazało się kilka głów.

— Ależ to pan hrabia z panią hrabiną! — mówiono ze zdziwieniem.

— Przecież mieli przyjechać dopiero jutro...— odrzekł ktoś z wyglądających oknem.

Hrabia de Rochebelle usłyszał te słowa.

— Rzeczywiście, moi kochani — odrzekł — mieliśmy przyjechać dopiero jutro, ale tak nam pilno było zobaczyć nasze dzieci, że nie zatrzymując się w drodze ani na chwilę, śpieszyliśmy do domu. Nieprawdaż, Nadino?

Osoba, do której hr. de Rochebelle zwrócił te słowa, podniosła na niego ciemne, wielkie, wspaniałe jak czarny dyament oczy i odrzekła tylko:

— Rzeczywiście, było nam pilno.

Hrabina nie dokończyła jeszcze tych słów, gdy z pierwszego piętra pałacu rozległ się wielki hałas, pośpieszne kroki kilku zbiegających po schodach osób i górujący nad tym zgiełkiem, dźwięczny jak kryształ, lecz nerwowy i wzruszony głos:

— Mama!... Mama!...

Hrabia zadrżał i zbladł.

Na hrabinie okrzyk ten nie uczynił wrażenia, owszem, zdawało się, że jej piękne brwi zmarszczyły się nieco.

Pośpieszne kroki zbliżały się.

Nadina, zamiast pobiedz, jak było rzeczą naturalną, naprzeciw swym dzieciom, weszła do ogromnego przedsionka i skierowała się do w połowie okrytych portyerą, podwójnych drzwi rzeźbionych.

— Chodź, Krystynie! — rzekła tonem nieco imponującym.

Hrabia posłusznie udał się za swą żoną do salonu, w którym czuć było nieco wilgoć, zwykłą w miejscach niezamieszkałych, lecz z przepychem przyozdobionego w bogate meble i gobeliny.

— Przypuszczam, że nie zechcesz być świadkiem wybuchów czułości tej waryatki Teresy? — rzekła tonem rozkazującym i z surowym wzrokiem.

Hr. de Rochebelle skłonił się.

— Masz racyę, Nadino — odrzekł patrząc na nią z zachwytem — masz ją zawsze...

Nagle drzwi, jak gdyby je kto wysadził gwałtownie, otwarły się i do salonu wpadła dziewczynka, w wieku od lat dwunastu do czternastu, słusznego wzrostu, blondynka, piękna jak miłość, z oczami koloru wody morskiej, z małemi różowemi usteczkami i ogromnym złocistym, spływającym po plecach warkoczem.

— Mama! mama! — wołała, biegnąc ku hrabinie.

Uszczęśliwiona, jak tylko ludzka istota szczęśliwą być może, bez tchu prawie z nadmiaru wzruszenia, nie spostrzegająca nawet swego ojca, padła w objęcia Nadiny i pieszcząc ją i całując bez końca, powtarzała:

— Mama moja!... matusia!...

Wyraz twarzy hrabiny zmienił się. Niedawną wyniosłość i znudzenie zastąpiła czułość: odwzajemniała się Teresie gorącemi pieszczotami, cisnęła ją do serca.

— Tereso moja! Tereniu, Teciu moja droga! ukochana! Więc cieszysz się z mego powrotu! Biedna moja mała!... ptaszyna!... Patrz, Krystynie jak ona urosła!... jaka piękna!...

— Moja droga! — odrzekł wzruszony — dziewczynka w tym wieku, w przeciągu dwóch lat może zmienić się bardzo..

Teresa, usłyszawszy te słowa, wyrwała się z ramion matki i zawiesiła się na szyi ojca.

— Tatuś mój drogi! — woła, całując go. — Czas było nareszcie powrócić do nas!... Myślałyśmy, że tatuś zapomniał już o nas zupełnie...

— A gdzież twoja siostra! — zapytała Nadina.

— Wyszła z miss Andrew. Będzie w rozpaczy, że nie powitała mamusi pierwsza... Ależ mateczka pisała, że przyjedzie dopiero jutro.

— Zapomniełśmy o wszystkiem, byle tylko prędzej was zobaczyć..

— Mamusiu droga, ukochana! Ach, jak my tęskniłyśmy do mamy!.. Od kilku miesięcy miałam sny okropne!...

Hrabia, usłyszawszy te słowa, znowu zbladł nieco, wzrok zaś Nadiny stał się surowym.

— Myślałam — mówiła Teresa — że już nie zobaczymy cię nigdy... Bardzo często i od wielu miesięcy budziłam się ze snu pod wrażeniem, że mnie wzywasz mateczko, że cierpisz i że wołasz: „Chodźcie, moje drogie, ratujcie mię!... Ratujcie, jeżeli chcecie zobaczyć mię jeszcze kiedy!“... Wtedy krzyczałam we śnie tak, że miss Andrew musiała wstawać, uspokajać mnie i nawet brać do swego łóżka, bym usnęła... Ale już jesteś, mateczko droga i nie opuścisz już nas... prawda? Byłam waryatką!...

I znowu całowała twarz matki i pieściła ją, gdy wtem, spojrzawszy na nią, zdziwiła się.

Nadina stała się nagle chłodną, sztywną.

— Co tobie, mateczko? Co ci się stało? — zapytała Teresa ze łzami w oczach. — Nigdy nie widziałam cię takiej..

— Śmieszną jesteś ze swemi zwierzeniami — odrzekła Nadina surowo. — Co znaczą te marzenia i halucynacye? — Jakieś wybryki dziecinne, czy komedya...

Teresa cofnęła się zmięszana.

— Wybryki dziecinne?... moje przywiązanie do ciebie, to komedya?... Mamo!.. mamo!... dawniej nie mówiłaś tak nigdy!...

Krystyn spojrzał na hrabinę znacząco i w tejże chwili ruchliwa jej twarz zmieniła się zupełnie. Piękne jej oczy zaszły łzami, usta uśmiechnęły się czarująco, a współcześnie ramiona otoczyły szyję Teresy.

— Nie, moja malutka, nie uważam twej miłości za wybryk dziecinny... ale będąc już tak słuszną dziewczynką, nie powinnaś dać się unosić wybuchom usposobienia i niepotrzebnym kaprysom. Powinnaś być spokojniejszą, poważniejszą, rozsądniejszą, jak na taką panienkę przystoi... Prawda, kotku kochany?

I po tych słowach hrabina zaczęła całować Teresę, która, nie pragnąc niczego więcej, jak tylko pieszczot macierzyńskich, do których dawniej przywykła, przymknęła swe piękne oczy błękitne i oparłszy głowę na piersiach hrabiny, mówiła:

— Mateczko droga, uczynię wszystko czego zechcesz... tylko kochaj mnie!

Nagle zerwała się.

— Helenka!... Helenka idzie! — zawołała. — Jaka ona będzie szczęśliwa!...

I z żywością, cechującą ją we wszystkiem, co czyniła, zeskoczyła z kolan Nadiny, pobiegła do drzwi i otworzyła je na rozcież.

— Helenko! — wołała — Helenko!... mama przyjechała!...

Do salonu doszedł głos sympatyczny, dźwięczący niezmiernem rozczuleniem.

— Mama!... ach! czyż to być może!...

Upłynęło parę sekund.

— Chodź-że! — wołała Teresa. — Co ci się stało?... Czegoś tak zbladła?... Chodź, uściskaj mamusię.

Nakoniec na progu drzwi pokazała się Helena de Rochebelle, druga córka przybyłych hrabiostwa.

Chociaż licząca tylko o trzy lata mniej od swej siostry Teresy, była przecież tak drobną i szczupłą, iż wydawała się znacznie młodszą. O ile tamta była wzrostu słusznego, czerstwą i tryskającą zdrowiem blondynką z prześlicznemi oczyma koloru wody morskiej, ożywioną, wypowiadającą swe myśli pod wrażeniem pierwszego natchnienia, unoszącą się i rozczulającą, o tyle druga była spokojną, chłodną, milczącą i rozważną. Również blondynka, ale o włosach jasnych jak konopie, zaledwie nieco ozłocone chłodnem słońcem północy, miała pod przepysznem, zdradzającem silną wolę czołem, długie rzęsy ciemne i oczy, jakiegoś niezdecydowanego koloru, może ciemno-błękitne, może ciemno-szafirowe, w każdym razie głębokie, prawie tragiczne i nad wiek jakieś tajemnicze i poważne.

Przyszła na świat przedwcześnie, jak zapewniał przyjaciel rodziny, doktor Desormeaux, to też matka jej, Nadina, kreolka z Hawany, pielęgnowała ją, kochała, pieściła i prawie siłą utrzymała ją przy życiu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: Ludwik Masłowski. Papier z fabryki Braci Pfajkowskich w Bielsku. Z drukarni ces. W. Maniszkiego — Zarządca W. Hodak.